Tadeusz Różewicz

Matka odchodzi

Wydawnictwo Dolnośląskie Wrocław 2001

"Teraz"

Teraz, kiedy pisze te słowa, oczy matki spoczywają na mnie. Te oczy, uwazne i czuje pytają milcząc "co cię martwi sunku...?" Odpowiadam z uśmiechem "nic... wszytsko w porządku, naprawdę, Mamo", "no powiedz – mówi Matka – co cie trapi?" Odwracam głowę, patrzę pzez okno...

Oczy matki wszytsko widzące patzą na urodziny patrzą przz całe życie i patrzą po śmierci z "tamtego świata". Nawet jeśli syn zamieniony został w maszynę do zabijania albo zwierzę mordercę oczy matki patrzą na niego z miłością... patrzą.

Kiedy matka odwróci oczy od swojego dziecka dzicko zaczyna błądzić i ginie w świecie pozbawionym miłości i ciepła.

Jutro jest dzień matki. Nie pamiętam czy w moim dzieciństwie był taki oficjalny urzędowy dzień...W moim dzieciństwie każdy dzień był dznie Matki. Każdy porane był dniem matki. I południe i wieczór i noc.

Wiesz, Mamo, tylko Tobie mogę to powiedziec na stare lata, mogę to powiedzieć, bo jestem już starszy od Ciebie... nie śmiałem Ci tego powiedzieć, za życia... jestem Poetą. Bałem się tego słowa nigdy go nie powiedziałem Ojcu... Nie wiedziałem czy się godzi coś takiego mówić.

Wchodziłem w świat poezji jak w światło, a teraz szykuję sięvdo wyjścia, w ciemność... przeszedłem piechotą kraine poezji widziałem ją okiem ryby kreta ptaka dziezka mężczyzny i starca dlaczego tak trudno wypowiedzieć te dwa "jestem poetą", szuka się zastępczych słów żeby zakomunikować ten "fakt" światu, Matce. Oczywiście, Matka wie. O tym żeby coś takiego powiedzieć ojcu nigdy nie myślałem... nigdy też Ojcu nie powiedziałem "Tato... Ojcze... jestem poetą"... nie wiem czy ojciec zwróciłby uwagę na takie słowa... byłby tak daleki... że spytałby mnie (czytając gazetę, jedząc, ubierając się, czyszcząc buty...) "co tam (Tadziu) mówisz?"... było to przecież jakieś "głupstwo" "co tam znowu?"... nie mogłem przecież powtórzyć jeszcze raz głośniej "Tato, Ojcze... jestem poetą"... Ojciec może by podniósł oczy znad talerza, znad gazety... patrzy zdziwiony a może nie patrzy tylko kiwa głową i mówi "dobrze... dobrze" albo nic nie mówi. Napisałem wiersz Ojciec (w roku 1954) "Idzie przez moje serce/ stary ojciec..." nie wiedziałem czy Ojciec ten wiersz przeczytał, nigdy słowa nie powiedział... zresztą ja też tego wiersza Ojcu nie przeczytałem... teraz jest rok 1999... i mówię tak cicho, że Rodzice nie mogą dosłyszeć moich słów "Mamo, Tato, jestem poetą"... "wiem Synku" mówi Matka "zawsze to wiedziałam" "mów wyraźniej" nic nie słyszę mówi Ojciec...

"Obietnice poety"

Przez wiele lat obiecywałem Mamie trzy rzeczy, że zaproszę ją do Krakowa, że pokażę Zakopane i góry, że pojadę z Mamą nad morze. Mama nie zobaczyła nigdy w życiu Krakowa. Nie widziała ani Krakowa ani gór (z Morskim Okiem w środku) ani morza. Nie dotrzymałem obietnic... Minęło od śmierci Mamy prawie pół wieku... (zresztą, przestaję się

interesować kalendarzem i zegarem). Czemu Jej nie zawiozłem do Krakowa i nie pokazałem Sukiennic, kościoła Mariackiego, Wawelu... Wisły.

No tak! Syn mieszkał w Krakowie... młody "obiecujący" poeta... i ten poeta który tyle wierszy napisał dla matki i tyle wierszy dla wszystkich matek... nie przywiózł Mamy do Krakowa w roku 1947 ani w 1949... Nigdy mi nie przypominała, nie robiła wyrzutów.

Mama nie widziała Warszawy. Mama nigdy nie leciała samolotem, nie płynęła statkiem. Nigdy nie byłem z Mamą w cukierni, w restauracji, w kawiarni, w teatrze, operze... Ani na koncercie... byłem poetą... Napisałem poemat Opoztnada-nie o starych kobietach, napisałem wiersz Stara chłopka idzie brzegiem morza... Nie zawiozłem Mamy nad morze... nie usiadłem z nią nad brzegiem, nie przyniosłem muszelki albo bursztynowego kamyczka. Nic... i ona nigdy nie zobaczy morza... i nigdy nie zobaczę jej Twarzy i oczu i uśmiechu kiedy patrzy na morze... poeta. Czy poeta to człowiek, który pisze z suchymi oczami treny, bo musi dobrze widzieć ich formę? Musi całe serce włożyć w to, aby forma była "doskonała"...? Poeta, człowiek bez serca? A teraz ten lament przed publicznością na jarmarku książki na odpuście poezji, na giełdzie literatury. I nie mam nawet tej pociechy, że Mama "na tamtym świecie" idzie przez Planty, przez Kraków, na Wawel... Czy w "niebie" jest morze nad którym siedzą nasze Matki w biednych salopkach, płaszczach, starych pantoflach i kapeluszach?... ale i teraz piszę - z suchymi oczami - i "poprawiam" te moje żebracze treny...

"W środku życia"

Minęło sześćdziesiąt lat od wybuchu II wojny światowej. Mam 77, 78 lat. Jestem poetą. Na początku drogi nie wierzyłem w ten cud... że kiedyś zostanę poetą, czasem w nocy przebudzony przez senne strachy i upiory ratowałem się myślą pragnieniem "będę poetą" przepędzę upiory ciemność śmierć... Wejdę w światło poezji, muzykę poezji, Ciszę.

Teraz kiedy piszę te słowa spokojne uważne oczy Matki spoczywają na mnie. Patrzy na mnie z "tamtego świata" z tamtej strony w którą ja nie wierzę. Na świecie znów się toczy wojna. Jedna ze stu jakie toczą się bez przerwy od końca II wojny światowej aż po dzień dzisiejszy...

ale mama nie odeszła była z nami i będzie...teraz kiedy piszę te słowa... badawcze oczy matki patrzą namniepodnoszę głowę, otwieram oczy... nie mogę znaleźć drogi, upadam, podnoszę się, słowa wypełnione nienawiścią trupim jadem wybuchają rozszarpują miłość wiarę i nadzieję... otwieram usta żeby coś powiedzieć "człowieka trzeba kochać" nie Polaka Niemca Serba Albańczyka Wiocha Żyda Greka... trzeba kochać człowieka... białego czarnego czerwonego żółtego

wiem, że te moje żebracze treny pozbawione są "dobrego smaku"...i wiem, że z rzeczy świata tego zostanie... co zostanie?!Wielki genialny śmieszny Norwid powiedział:Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie, Dwie tylko: poezja i dobroć... i więcej nic...Wielki Don Kichocie! Zostało Nic. I jeśli my ludzie nie pójdziemy po rozum do głowy i nie zagospodarujemy tego rosnącego Nic to... to co?! powiedz, nie bój się! co się stanie... zgotujemy sobie takie piekło, na ziemi, że Lucyfer wyda nam się aniołem, wprawdzie aniołem upadłym, ale nie pozbawionym duszy, zdolnym do pychy ale pełnym tęsknoty za utraconym niebem pełnym melancholii i smutku... polityka zamieni się w kicz, miłość w pornografię, muzyka w hałas, sport w prostytucję, religia w naukę, nauka w wiarę.

Stefania Różewicz

["Wieś mojego dzieciństwa"]

Szynkielew jest wsią, która należała do gubernii kaliskiej, powiatu wieluńskiego.

Czasy caratu. Są we wsi dwa dwory: szlachecki i generalski. Sama wieś jest duża. Mimo że nie jest taka biedna jak okoliczne wioski, jest w niej dużo biedy. Drogi są tu okropne. W zimę to, jak nie ma mrozu, dosłownie trepy giną w błocie, bo noga przy wyciąganiu z błota nie utrzyma trepa. Trepy są o drewnianych podeszwach. Buty posiada mało kto, to jest luksus. Kto je ma, to tylko kładzie na wielką uroczystość. Szkoły nie ma, do kościoła ludzie chodzą dziewięć kilometrów.

Przyjechałam do Szynkielewa mając lat pięć. Ogromnie mi się tu podobało. Miałam dopiero lat pięć, nie zrozumiałam, ile się kryje przy pięknie przyrody nędzy ludzkiej na takiej nawet zamożnej wsi. Zaczęłam mniej więcej od dziesiątego roku życia obserwować życie ludu. Najwięcej pamiętam z tego okresu rok 1905. Przyjeżdżali ludzie z miast i opowiadali, że ma już nie być cara, że w Łodzi ubrali kukłę podobną do cara. Obwozili ją, aby go upokorzyć. To znów słyszałam, że w Rosji ugotowano jakiegoś kucharza. To zdarzyło się już w wojsku, więc była nadzieja, że może nie będzie już cara i nie będą ludzi wywozić na Syberię.

Wieś była strasznie zaniedbana. Państwo zupełnie się nie starało o to, żeby poprawić byt ludziom, najlepszy dowód, że jakaś mała szkółka musiała starczyć na kilka okolicznych wiosek. Dzieci dlatego prawie do szkoły nie chodziły, bo w zimę leżały wielkie śniegi, przez które by nie przebrnęły, a wiosną czy jesienią rodzice znów nie mogli sobie pozwolić na próżnowanie dzieci, jak mówili, bo trzeba by jedno dziecko bawiło drugie. Sama widziałam, jak trzyletnie lub czteroletnie dzieci musiały podczas nieobecności matek roczne lub mniejsze bawić i karmić. Śmiertelność wśród dzieci była wielka. Najsilniejsze żyły, a wątłych nie miał kto leczyć i nie było czym odżywiać.

Pamiętam, że kiedyś weszłam do dość zamożnych gospodarzy. Matka była w polu. Dziecko, które w domu pozostało, leżało w kołysce w samej słomie, bo słoma na pewno była przedtem nakryta jakąś szmatką, ale dziecko już tę szmatę skopało nóżkami. Przykry był widok, że to dziecko załatwiło się i zaczęło jeść kał spod siebie. Higiena była okropna. Dzieci wieczorem kładły się spać bez mycia. Były przemęczone, bo przecież dziecko, które miało pięć lub sześć lat, pasło już gęsi. Nie dosypiały dzieci. Często widziałam, jak takie maleństwa wyciągane były z łóżek do pasania krów czy gęsi o godzinie czwartej lub piątej rano, zasypiały na jakiejś granicy, a bydełko wtedy szło, gdzie chciało. Mój Boże, jak bardzo mi było żal dzieci, którym krowy lub gęsi uciekły nieraz z pola, a biedny pastuszek bał się, aby mu bydło nie poszło w szkodę. Leciały, goniły, a nie mogły podołać, to dostawały w domu bicie za złe pilnowanie.

Odżywiały się dzieci źle. Bardzo często nie było chleba. Matka wtedy naprędce gniotła placek z pozostałych kartofli i trochę mąki, piekła na blasze lub w popiele. Wielka była uroczystość, jak dziecko dostało kawałek bułki lub cukierka. Cukierek był z najgorszego gatunku. Było w nim trochę farby z krochmalu, zamiast cukru sacharyna.

Miałam sposobność zaobserwować, jak okropnie żyją małorolni. Ludzie, którzy tego z bliska nie widzieli, nie są w stanie uwierzyć. Miał taki małorolny dwie lub trzy morgi ziemi, nieraz same piachy (a było dużo takich, co mieli morgę lub dwie), a dzieci dużo. Nieraz jeszcze była babka na tak zwanym wycugu. Pamiętam, że raz byłam w takiej izbie, nie było

tam podłogi, tylko ubita glina - jedno mieszkanie, w którym się mieściła rodzina i króliki, aby mieć na święta mięso. Okno było małe, zabite gwoździami, wcale się nie otwierało. U zamożnych były inne okna, o czterech szybach, dachy wszystkie słomą kryte.

Małorolni nie mogli utrzymać konia do pracy, więc musieli u bogatszych pracować, aby oni im za to pomogli czy to nawóz wywieźć, czy zboża trochę zwieźć. Zawsze bogaty sobie zwoził wpierw zboże, a biednemu zmokło. Na jesieni bogacze sobie orali i siali, a biedak, który chodził na tak zwany odro-bek, miał jeszcze żyto w polu. Jak już były przymrozki, nieraz widziałam, jak w żniwa małorolni znoszą do jakiejś na wpół rozwalonej stodółki na plecach zboże. A robiły to przeważnie kobiety, bo mężowie wyjeżdżali do Niemiec na roboty, aby móc z zarobionych pieniędzy kupić trochę obuwia czy ubrania. Nawet zamożni gospodarze musieli posyłać na roboty do Niemiec swoje dzieci. Nikt nie był w stanie się ubrać z dochodów z gospodarstwa.

Bardzo biedne było w mieszkaniach umeblowanie. Przeważnie meble składały się ze skrzynki, tak zwanego kufra, gdzie leżało ubranie i bielizna. Bielizna była bardzo uboga, koszule składały się z trzech części: u dołu koszula była z takiej grubej części płótna jak na worek, wyżej była cieńsza, a u samej góry kołnierzyk z cienkiego płótna kupnego. Powłoki, czyli pościelowa bielizna - spód poszwy z płótna swojej roboty, a wierzch w różne kraty.

Sienników nie było. Można powiedzieć, że ludzie leżeli w gołej słomie, bo przeważnie spało po kilka osób na jednym łóżku. Nawet były tam jakieś płachty rzucone na słomę, ale we śnie to się to wszystko pościągało. Bogatsi mieli stoły, ale jedli przeważnie na ławach. Do ław były przystawiane małe stołeczki. Na tym siadali do jedzenia. Jedli ludzie z misek dość dużych, tak że na rodzinę składającą się z sześciu lub pięciu osób gospodyni stawiała dwie miski do jedzenia. W gospodarstwie kuchennym prawie że nie było naczyń, jakieś dwa, trzy garnki, tak zwane żeleźniaki. Niektóre gospodynie miały po kilka talerzy, ale talerze stały w szafie od "parady". Miednic do mycia nigdzie nie widziałam. Był duży ceber, w którym zmywali naczynia. Z tego samego cebra poili krowy. Sama widziałam, jak małe dzieci wstawały rano z łóżek i w te same cebry siusiały. Niektórzy myli się w ten sposób, że brali wodę do ust i wypuszczali ją na ręce, i tak się myli. A jeszcze inni myli się w szkopkach. Szkopek to było naczynie, do którego doili krowy. Jedli wszyscy z jednej lub dwóch misek glinianych.

Jedzenie przeważnie też było na wsi bardzo biedne. Śniadanie składało się najczęściej z kartofli i polewki. Polewka była różnie gotowana. U biednych wodę zaprawiało się mąką żytnią, zsiadłym mlekiem, a u bogatszych zaprawiano polewkę słodkim mlekiem, a zamiast wody brało się na polewkę maślankę. Kartofle na wsi przeważnie gotowano w łupach. Obiady składały się przeważnie z kartofli, kapusty i klusek, kluski bywały urozmaicone. Nieraz zacierkę z mlekiem jedli albo kluski, zwane bociany, z maślanką. Kapustę kisili w całych główkach, a liście siekali siekaczami i przesypywali główki kapusty. Kapusta u biednych była kraszona olejem albo ugotowaną fasolą. Dalsze jedzenie składało się z kaszy jaglanej lub pęczaku. Kaszę przeważnie gotowano na przednówku. Mięsa bardzo mało ludzie jedli. Jak krowa złamała nogę albo się zdarzył inny jakiś wypadek, to chłopi między sobą sprzedawali, ale najczęściej przyjeżdżał rzeźnik i kupował za psie pieniądze. Były dobre czasy, kiedy żyto się zrodziło, to chleb był pieczony na każdą niedzielę z jasnej mąki. Ale jak nie było urodzaju, to kobiety mełły żyto w żarnach tylko na barszcz i różne polewki. Cukru prawie że ludzie nie jedli, na święta lub dla chorych kupowali.

Jarzyn dawniej nie sadzili. Nie widziałam nigdy marchewki czerwonej, przeważnie białą

pastewną. Dlatego pamiętam dobrze, że jarzyn na wsi nie było, bo zawsze przylatywały do nas kobiety po trochę natki od pietruszki na lekarstwa dla noworodków. Jak który nie mógł sikać, to go poili wywarem z pietruszki (jako środek moczopędny). Z owocami też było źle. Przeważnie były polne gruszki. Rosły po granicach tak gęsto, że z daleka zdawało się, że to las. Tych dzikich owoców było bardzo dużo. Mam wrażenie, że gruszki te nie dawały wiele witamin, bo w nich było dużo kamienia. Były we wsi dwa sady z owocami gatunkowymi. Te należały do dworu. Dzieci ze wsi z tych owoców nie korzystały, bo sady w dworze były wydzierżawione Żydom. Owszem, pamiętam jeszcze parę małych ogródków u bogatych gospodarzy.

Wieś była duża i w stosunku do innych wiosek zamożna, ale dosłownie nie było jednej rodziny, żeby mogła sobie pozwolić na wysłanie dziecka, nawet zdolnego, do szkoły do miasta. Znałam kilku chłopców, nawet mogliby się uczyć, ale musieli iść do Niemiec na roboty. Dwóch z mojego pokolenia siłą rzeczy chciało na coś wyjść, jak się to mówiło, więc jeden z nich, Andrzej Kałużny, był kilka razy w Niemczech, aby sobie na naukę czy ubranie zarobić. Potem latał dziewięć kilometrów do księdza proboszcza, który go przygotował do którejś klasy, nie pamiętam czy do trzeciej, czy czwartej, w każdym razie wyjechał do jakiegoś seminarium, z którego wrócił bardzo wyczerpany. Opowiadali mi ludzie, że kiedy była jego prymicja, to musieli go do ołtarza prowadzić, o własnej sile nie mógł już mszy świętej odprawić. Niedługo potem zmarł.

Drugi chłopiec to był Antoni Walasik. Musiał być bardzo zdolny, nawet wszechstronnie zdolny. Widziałam nie raz, jak z kory sosnowej rzeźbił różnych świątków i to naprawdę ładnie. Był samoukiem. Rodzice nawet mu nie dali na tabliczkę i rysik, a ogromnie chciał pisać, więc pisał węglem, patykami po ziemi, a jak był starszy, chodził do Niemiec i uczył się pisać. Pisywał z Niemiec listy ludziom, którzy z nim wspólnie pracowali. Na wsi mało było ludzi, co umieli pisać. Prawie wszyscy analfabeci. Muszę i Walasika już opisać, skoro zaczął uczyć się sam i po paru latach przestał jeździć do Niemiec, i sekretarz Swieszczak przyjął go na pomocnika do sądu, raczej na tak zwaną praktykę. I choć samouk, doskonale sobie dawał radę. Miał piękny charakter pisma. Był strasznie pracowity. Z praktyki pojechał już do Kalisza na kancelistę.

Dlatego opisuję dwóch znajomych, aby ci, co będą czytali, mogli się zorientować, w jakich warunkach żyli ludzie, z których naprawdę mógł być pożytek dla kultury i państwa. Dziś, jak widzę setki tysięcy młodzieży wiejskiej kształcącej się, jestem naprawdę szczęśliwa, że tak jest, a nie czasy tragiczne dla oświaty, jak wtedy, kiedy ja byłam młoda. Ciągle muszę myśleć o mojej wsi, w której się wychowywałam, jak było dawniej, a jak jest dzisiaj. Jak był na wsi człowiek, który umiał pisać, nawet źle pisać, to taki uczony zbierał w zimę dzieci i uczył je. Za to dostawał parę groszy od dziecka lub coś w naturze, ale czego dzieci nauczyły się przez zimę, to przez lato zapomniały, bo w lecie człowiek, który uczył, pracował w polu, a dzieci pasły gęsi i krowy.

Naprawdę to ludzie tych szkół nie chcieli. Nie było żadnej oświaty, więc nawet jak było kilku gospodarzy, co pragnęli żeby dzieci chodziły do szkoły i starali się u władz, żeby szkoła we wsi była, to 90 procent mówiła, że jego dziad, pradziad nie znał się na piśmie i też żył. Nieraz ojciec mówił: szkoła bardzo waszym dzieciom potrzebna. Odpowiadali dowcipnie: panie, kto się zna na piśmie, ten się do piekła ciśnie.

Wieś była głęboko religijna. Nawet ksiądz był uważany za jakąś świętość. Ludzie biedni, którzy sobie odmawiali nie raz kawałka chleba, znajdowali ruble na różne składki na

kościół. Mimo że kościół był od mojej wsi aż dziewięć kilometrów, chodzili ludzie do niego w każdą niedzielę. Nieraz w zimę były duże mrozy, mimo to wstawali o czwartej rano i szli na rora-ty. Postu bardzo przestrzegali. Post był wielki przed Wielkanocą, adwent przed Bożym Narodzeniem. Nawet jak kto chciał w wielki post w niedzielę zjeść kawałek mięsa, przychodził do księdza po dyspensę. Taka dyspensa kosztowała rubla. Ludzie dosłownie cały wielki post jedli kapuśnicę gotowaną na suszonych "betkach" albo kraszoną olejem. Posty jeszcze były w krzyżowe dni i przed każdym świętem Matki Boskiej. Należeli do różnych związków religijnych, na przykład do bractwa różańcowego. Bractwo różańcowe dawało gwarancje, że po śmierci, choćby nikt nie zakupił mszy, to dla tych z bractwa są zawsze msze i dużo światła na pogrzebie się świeci. Było dużo tych stowarzyszeń, na przykład kółko żywego różańca polegało na tym, że co niedziela u innej kobiety zbierały się członkinie żywego różańca i odmawiały go. Mówiły, że on żyje, bo ciągle go odmawiają.

Dzieciak najpóźniej był chrzczony, jak miał dwa tygodnie. Słusznie się bali, żeby takie niemowlę nie umarło bez chrztu, bo byłoby wiecznie potępione jak "żyd" lub inny człowiek nie ochrzczony. Matka też musiała iść po porodzie do kościoła, aby została oczyszczona. Nie było wolno przedtem takiej kobiecie po wodę iść, bo potem były "robaki" w wodzie. Do spowiedzi chodzili dość często, a spowiedź, którą każdy musiał pod kontrolą swego proboszcza odbyć, była wielkanocna. Przychodził więc z każdego domu ktoś do kancelarii parafialnej i kupował dla domowników kartki, z którymi petenci przychodzili do spowiedzi. Takie kartki po spowiedzi oddawali organiście, a on tych, którzy byli u spowiedzi, wykreślał z książek, w których wszyscy byli spisani przed Wielkanocą. W ten sposób proboszcz wiedział, ile ma niewiernych. Za moich czasów mało było takich, co bez ślubu mieszkali, to znaczy na wiarę. Pewnie, że w parafii się coś znalazło.

Zaczęłam o spowiedzi wielkanocnej, muszę też opisać, jak na wsi takie święta się odbywały. Cały Wielki Tydzień był dość uroczysty i smutny. Rodzice chodzili na gorzkie żale i opowiadali, jak Żydzi Pana Jezusa męczyli, jak ziemia pękała i pioruny biły. Podczas opowiadania ludzie z wielkim szacunkiem zdejmowali czapki. Tradycyjne porządki się odbywały: bielenie mieszkań, wielkie prania. Potem było pieczenie chleba, co u bogatszych piekło się placki. Trzeba się było wystawić ze święceniem. W Wielką Sobotę ksiądz przyjeżdżał święcić. Kobiety i dzieci ubrane odświętnie przyniosły święcenie przed kaplicę. Tam rzędami siedziały na ziemi, która była posypana żółtym piaskiem. Święcenie składało się z chleba, sera i z szperki. Szperka to jest mięso ze słoniną gotowane, przybić ranę borowinami. Musiał być koniecznie ocet i chrzan. Ocet, bo Żydzi Pana Jezusa nim poili. Na rezurekcje prawie wszyscy dorośli szli.

Wielka Niedziela była bardzo uroczyście obchodzona. Drugi dzień Wielkanocy to był śmingus - parobcy oblewali dziewczyny wodą z wielkich sikawek, które były używane do gaszenia pożaru, a niektóre dziewuchy były w rowie wykąpane.

Po wsi kawalerowie też chodzili z gaikiem. Była to ubrana choinka w różne lalki i kogutki, przy tym śpiewali: "chodzimy z gaikiem, siedzi kurka z jajkiem", no i gospodynie im wynosiły tak zwany dyngus, który składał się z jaj, placka czy kawałka chleba.

Boże Narodzenie było bardzo wielkim świętem. Ludzie też je obchodzili z wielkim kultem. Potraw było dużo na kolacji wigilijnej. Konopie ziarno musiało zawsze być ucierane, potem zagotowane z mlekiem. To była zupa wigilijna. Były kluski z miodem, suszone ulęgałki i wiele innych potraw. Kolacja wigilijna składała się z trzynastu, jedenastu lub siedmiu potraw. Po podzieleniu się opłatkiem gospodarz brał różowy opłatek (takie wypiekał

specjalnie organista) i mógł to dać bydełku, bo chłopi mówili: trzeba i bydełku dać, bo Pan Jezus przyszedł na świat między bydełkiem. No i mówili ludzie na wsi, że w tę noc, kiedy się Dzieciątko narodziło, to bydełko mówiło ludzkim językiem i do dziś dnia w tę noc mówi.

W kącie izby stał snopek słomy i cała izba była słomą wyścielana na pamiątkę, że Dzieciątko się w stajence narodziło. Drugi dzień świąt, w św. Szczepana, zmieniali gospodarze przeważnie parobków i pastuchów, stąd przysłowie, że na św. Szczepan każdy sługa pan.

Zaczynał się karnawał. Gdzie kto miał upatrzoną dziewczynę, brał starostę i wódkę i szedł na "zmówiny". Jak się ugodzili, to znaczy, jeżeli rodzice dziewczyny dali tyle, ile chłopak chciał mórg (a jeżeli on miał morgi, to brał spłaty pieniężne, krowy), jakieś tam inne historie, to wódkę wypijali i dawali na zapowiedzi. Jeżeli nie doszli do zgody, to w jeden wieczór chłopak ze starostą szedł do innych dziewczyn, aż się gdzieś zgodzili. Jechali wtedy do księdza proboszcza. Zanieśli na zapowiedzi. Ksiądz pytał z pacierza. Bardzo często taka para pacierza nie umiała. Wtedy ksiądz zapowiedzi nie wygłaszał, dopóki się pacierza nie nauczyli. Jeszcze ich ksiądz zwymyślał, mówiąc: co inne to wy umiecie, a tego pacierza nawet nie odmawiacie. Ksiądz miał rację. Wesele odbywało się po załatwieniu spraw majątkowych i kościelnych.

Wesele wyprawiali rodzice panny młodej i pana młodego. Przeważnie pan młody kupował wódkę, płacił muzykę, płacił ślub i kupował pannie młodej trzewiki. Zaś panna młoda kupowała na koszulę do ślubu i własnoręcznie ją szyła. Wesele trwało kilka dni. Stroje były różnobarwne. Całą noc przed rozpoczęciem wesela chodzili drużbowie spraszać gości, na weselu byli prawie wszyscy. Drużby byli postrojeni dość paradnie. Każdy był przepasany wstęgą przez ramię, do czapek mieli przypięte kwiaty kupne. Kwiaty były przeważnie czerwone. Robili sobie sami laski, nie wiem z jakiego drzewa. Myślę, że z wierzby, bo laski były z kory obrane. Potem na laskach były takie miejsca nożem zeskrobane i farbowane. Taką laskę musiał mieć każdy drużba. Druhny miały na głowach wieńce z kolorowych kwiatów, a z tyłu głowy do tych wieńców były poprzypinane różne wstążki długie aż do ziemi. Ładnie to wszystko wyglądało. Panna młoda miała inny strój na głowie albo jakiś bardzo lichy welon. W welonie z wiankiem z mięty mogły iść do ślubu tylko dziewice. Jak ksiądz się dowiedział, że panna młoda jest w ciąży, albo że przedtem miała dziecko, zdzierał jej w kościele wianek z głowy, jako że nie jest już dziewicą i niegodna brać w wianku ślub. To był postrach dla innych, żeby wianka strzegły, no i wstyd.

Do ślubu u bogatszych jechało nieraz z dwadzieścia furmanek. Konie były ubrane w różne kwiaty zrobione z pierza. Przed wyjazdem do ślubu para młoda dziękowała rodzicom za wychowanie. Znalazł się ktoś, co umiał czytać, więc czytał o stadle małżeńskim, o grzechu pierworodnym, o Adamie i Ewie, jako o pierwszych rodzicach, których na początku świata sam Bóg połączył. Przed wyjściem para młoda klękała i padając do nóg rodzicom prosiła o błogosławieństwo. Do ślubu wyjeżdżali ze śpiewem druhen i drużbów. Nawet strzelali na wiwat. Muzyka, która również jechała do ślubu, grała strasznie żałośnie. Panna młoda, żegnając rodziców, przeważnie płakała. Żegnała też swoje progi, wymawiając przy tym słowa:

żegnajcie moje ścieżki, żegnajcie moje progi, chodziły tu moje nogi, teraz już nie będą itd.

Po ślubie cale wesele jechało do karczmy. Tam wszyscy pili i tańczyli. Jak mieli dość zabawy, wszyscy pijani na wyścigi jechali do domu weselnego. Taka podróż z jednej strony była bardzo wesoła, bo muzyka ciągle grała na wesoło, ale często wyścigi kończyły się

wywracaniem wozów. Po powrocie od ślubu wprowadzali parę młodą z przyśpiewkami do domu weselnego. Potem był obiad, podczas obiadu były oczepowiny Pan młody zdejmował pannie młodej wianek, który przedtem druhny w tak tajemny sposób upięły, że było go tak trudno rozpiąć, jak rozwiązać węzeł gordyjski. Przy oczepowinach wszyscy śpiewali i pili wódkę. Druhny śpiewały różne smętne piosenki, że za chwilę już nie będzie dziewicą, a starościna obchodziła z przetakiem i wódką. Śpiewała zbierając pieniądze na czepek: "a dajcie jej na paciorki, żeby miała piknę córki". Na to starosta znów śpiewał: "a dajcie jej na bursztyny, żeby miała piknę syny, a dajcie jej na sidto, żeby miała wszyćko". Panna młoda podczas oczepowin siedziała na dzieży. Po zdjęciu przez pana młodego wianka starościna składała jej czepiec na głowę. Panna młoda czepiec zdejmowała i kładła go sobie na kolana, bo jeszcze kładły jej czepce różne gospodynie, no i matka panny młodej i mężowska. Jak była bogata, to nieraz tych czepców zebrała około dwudziestu i pieniędzy około stu rubli. Te pieniądze szły na dorobek. Czepce u nas w okolicy były bardzo ładne. Dużego rozmiaru, przybrane różnobarwnymi wstążkami. Na czepek kobiety kładły piękne chustki jedwabne. Na drugi dzień wesele było u rodziców pana młodego, a na trzeci dzień bawili się u starostów. Potem robili goście składkowe wesele. Mężczyźni składali się na wódkę, a kobiety przynosiły ser, masło, jaja albo i królika zabitego, kiełbasę i znów jedli, pili, tańczyli, śpiewali i bawili się tak aż do niedzieli. Bo śluby przeważnie były we wtorki. W niedzielę panna młoda jechała do kościoła na błogosławieństwo. Ksiądz błogosławił pannę młodą na matkę.

Często bogaci gospodarze prosili księży, pisarza z gminy na wesele. Wówczas co lepsze jadło stawiało się przed lepszych gości. Potrawy na ucztę weselną składały się z wieprzowiny gotowanej na kwasie, gotowanych klusek, kapusty z grochem, kaszy tatarczanej, chleba, placka ogromnie grubo upieczonego.

Często po weselu obmawiały kobiety dom weselny. Opowiadały sobie, jak to swoich zabrali do komory i co lepsze przed obiadem razem zeżarli. "Sama widziałam, jak wychodzili, to aż im się po brodzie lały tłustości. Tańcowali potem, a ja to sobie z tego wesela poszłam do domu i byle co zjadłam, dlatego też ino pół rubla za czepek dałam". Albo: "nie widzieliście, jak na ołtarzu podczas ślubu świeca się paliła krzywo, oj będzie ją chłop prał, a mogła go nie brać młoda, byłby ją ta jeszcze jaki kawaler wziął, przeca wiedziała, że nieboszczkę tłukł" itd.

Wszysddch Świętych na wsi też obchodzą z wielkim kultem. Już na jakieś dwa tygodnie przed Wszystkimi Świętymi dają na tak zwane wypominki. To są modlitwy za dusze zmarłych. Ksiądz przez kilka tygodni po kazaniu modli się z ludźmi za dusze. Za każdą taką duszę ksiądz bierze pieniądze. Groby ubierali ludzie różnymi gałązkami, posypywali żółtym piaskiem, a niektórzy robili z bibułki czerwonej i przeważnie jaskrawych kolorów wieńce.

Po przyjściu z procesji wieczorem nikt nigdzie nie chodził. Nawet do bliskich sąsiadów, nawet na własne podwórka nie wychodzili. Zawsze mówili, że Dzień Zaduszny należy do zmarłych, to nie trzeba im przeszkadzać. Kiedyś się zapytałam, dlaczego. To mi nasza znajoma zaczęła opowiadać, że nieraz były takie ciekawe, to im się dusze ukazały. Opowiadała mi, że chłop jakiś się wymędrkował i pojechał do młyna, a tu, jak nie powstanie jakiś wiatr, który tak żałośnie wył, że chłopa aż ciarki wzięły ze strachu. Patrzy, wszystko zboże pod wozem, worki bez dziur, zawiązane, a zboża w nich nie ma. To jak go wziął strach, chce uciekać, konie stoją jak kamienie i ani rusz, sam uciekł. Bo to wszystko, widzisz, przestroga, żeby za dusze w tę noc ino się modlić, a nie przeszkadzać. Mówię do

kobiety, że może dusze wcale nie straszą, tylko ludzie pod wrażeniem opowiadań sami się boją, a ta sama znajoma mi mówi: co też ponienka se myśli, to wszyćko prawda. Raz też chłop gdzieś się wybrał w taką noc, a tu jak konie staną, ani rusz, ciężko im i nie mogą ujechać. Ogląda się, maca, a tu cosik leży na wozie, takie wielkie, a kudłate to. Jak go strach wziął, to w potach ledwie do domu przyszedł, aż to odchorował. Ze dwa dni podobno nic nie gadał, tylko tyle, że jak go się pytali, gdzie są konie, to odpowiadał: nie wiem, może jakie dusze je zabrały, co chodziły za pokutą, a już je nogi zabolały. A niechta, mówił chłop, choć mi szkoda koni, będzie to przestroga dla innych, aby duchom nie przeszkadzać. On sam po tym ino się całe życie modlił i nigdzie nie chodził, a mnie jeszcze dziś ciarki przechodzą, jak o tym myślę. Kiedyś znów jakiś chłop mi mówił, że to wszystko prawda, co o tych duszach mówią, bo jeden tak mądry powiedział, że on dopiero zawierzy, jak zobaczy na własne oczy. No i wziął drabinę, postawił pod okno w kościele i chciał zajrzeć. Ksiądz proboszcz umarły przyszedł do dusz odprawiać i z wszystkimi duszami z tej parafii miał przyjść jak owczarz z owieczkami. No i ten chłop, co wejdzie na szczebel, to szczebel się ułamie, ale się jakoś dostał do tego okna. Ale jak zajrzał i zobaczył, co się dzieje (wszystkie dusze klęczą, a ksiądz jak żywy odprawia) to ze strachu zmartwiał.

W ogóle za moich młodych lat lud ogromnie był zabobonny. Opowiadali, że jak matka umrze, a zostawi sieroty, to zawsze po śmierci przychodzi ona w nocy i karmi piersią to najmłodsze. Mówię: przecież umarły nie ma pokarmu, a kobieta mi tłumaczy że jej jakaś babka na własne oczy widziała, jak jej córka w nocy przychodziła i klękała koło kołyski i karmiła swoje dziecko. I ta babka twierdziła, że ino jakiś szum się zrobił, jak odeszła znów do nieba, nawet się drzwi nie otworzyły. Lu-białam bardzo, jak mi na wsi opowiadali o różnych strachach i czasach. Gdybym była wtedy pomyślała, że kiedyś będę opowiadała, w jakiej strasznej ciemnocie ludzie żyli...

Ksiądz żył z dworem, a lud był pozostawiony całkiem swemu życiu. W czary bardzo wierzyli. Opowiadali mi, że jak owczarz zachce, to każdemu zada. Zada to znaczyło, że zaczaruje. Tak podobno było w Radoszewicach. Dziedzic odprawił owczarza, a on z zemsty zaczarował go. Tak mu zadał, że nigdy się nie załatwił, jak w spodnie. Nie mógł ten dziedzic nigdy być razem z ludźmi ani nigdzie jechać, bo jak tylko się zabrał, to zaraz zrobił w spodnie i musiał siedzieć w domu. Nawet podobno lokaje nie chcieli koło niego robić. Taką to moc mieli owczarze. A nieraz, jak sąsiad miał złość na sąsiada, to szedł do owczarza i płacił mu za to, aby sąsiadowi zadał. Mógł owczarz zadać postrzał albo jaką febrę, która ciągle ino człowiekiem trzęsła. Owczarz miał podobno moc z tego, że o jakiejś porze, kiedy księżyc był w pełni, wykopywał z kirkuta umarłego Żyda i zakopywał go w owczarni pod progiem. Owczarz mógł też tak zrobić, że owce jego zastępcy nie słuchały. Zbijały się w kupce i z miejsca, choćby je pozabijać, nie chciały się ruszyć albo dostawały motolicy i wszystkie wyzdy-chały.

Kobiety wierzyły w czary. Jakby kobieta przyszła po zachodzie słońca po trochę mleka, nie dostawała albo jeżeli dostała, to trzeba było wsypać soli, bo jak nie, to można było krowie odebrać mleko. Jakby się tylko były poswarzyły sąsiadki, zaraz jedna na drugą: ty czarownico, a nie przyłazisz, i to po zachodzie słońca, po mleko? A myślisz suko jedna, że ludzie nie wiedzą, że twoja matka już była czarownicą i nagą ją ludzie widzieli, jak w nocy robiła masło? Albo nie raz były takie, co jak się na co spojrzały, to zaraz się wszystko zmykało. Zdaje mi się, że "zmykało", to znaczyło, że wszystko się psuło.

Wierzyli też ludzie w wypędzenie diabła. Podobno był ksiądz w Brzykowie, który miał moc

wypędzania diabła. Opowiadała mi jedna staruszka, że właśnie ona prawie że była w kościele, jak ksiądz wypędzał diabła. Przywieźli taką opętaną do kościoła, ale jak tylko diabeł spostrzegł, że go chcą wypędzić, to nie dał kobiecie do kościoła wejść. Rzucał się i ryczał w kobiecie, że aż jej piana z gęby szła, ale jak ksiądz zaczął święcić kobietę i modlić się nad nią, to już diabeł straszne rzeczy wyprawiał, a ksiądz ino święcił. A tu jak kobieta nie zacznie wyć. Wtem się pokazał z gęby ogień i dym, wtedy już diabeł wyszedł. Wierzyli też w to, że jak pies wył i patrzał do góry, to pożar pewny, a jak znów wył i trzymał łeb na dół, śmierć pewna. Jak miał kto umrzeć, zawsze były przestrogi. Albo obraz spada, albo cosik walnęło, że wszyscy struchleli, albo się coś pokazywało.

Leczyli się ludzie na wsi przeważnie różnymi gusłami. Wierzyli w znachorów. Taki znachor leczył przeważnie kadzeniem. Zapalał na pokrywce różne zioła, obchodził chorego parę razy dookoła, odmawiając jakieś pacierze i kadząc. To miał być najlepszy środek na wszystkie choroby. Jak komuś twarz spuchła albo miał czyraki, wtedy znachor stosował inne leki. Kazał się załatwiać na jakąś brudną szmatę. To miało obrzydzać ból i choroba odchodziła. Zdaje mi się, że częściej pacjent odchodził do nieba po takim leczeniu. Jak kogoś głowa bolała, to uroki odczyniali. Było bardzo dobrze, jak ktoś pojechał do Osjakowa i przywiózł felczera. Felczer leczył wszystkie choroby. Bańki to nawet stawiał, jak kogo żołądek bolał, a zęby wyrywał obcążkami albo zatruwał zęby krauzetem czy ałunem. Oczywiście, taki środek na razie pomagai, ale potem zęby się psuły.

Pamiętam, że później się w Osjakowie poprawiło co do leczenia. Bo do parafii przyjechał ksiądz Michnikowski, który dość dobrze leczył. Do najbliższego lekarza trzeba było wieźć chorego dwadzieścia kilometrów do Wielunia, często ciężko chorego czy chorą. Umierali w drodze przeważnie. Ludzie bali się lekarzy. A mówili: nie trzeba doktora, że "kto na śmierć chory, nie pomogą doktory", a lepiej przywieźcie księdza. Po księdzu często na lepsze idzie. Byłam świadkiem, jak rodzice przywieźli dziecko do księdza, aby je leczył. Dziecko było chore na krup i zanim przyjechali z drugiej parafii, dziecko umarło. Taka była opieka lekarska.

Kobiety ciężarne ogromnie się bały akuszerek. Na wsi przeważnie były babki, które nie miały żadnej praktyki. Taka babka często z pola lub od innej brudnej roboty przychodziła do chorej, ręce i ubranie były okropnie brudne, toteż moc kobiet młodych po tych zabiegach umierało na zakażenie albo na krwotoki. Babka nie dość, że była brudna, to jeszcze i bez serca, mówiąc, że trzeba więcej ratować dziecko jak matkę. Bo jakby tak dziecko umarło bez chrztu, to idzie na wieczne potępienie, a matka już jest ochrzczona.

Opowiadał mi jeden ksiądz, że wezwali go do chorej z Panem Jezusem. Był przerażony tym, co zobaczył. W chałupie pełno bab, chora już prawie nieżywa, a babka przepala pogrzebacz. Ksiądz pyta: co wy będziecie robili tym haczykiem? Baba mówi, że dziecko się nie może urodzić, bo stanęło w obręczy. To ja, proszę księdza proboszcza, chcę tym haczykiem utrafić w uszko i wyciągnąć, żeby w matce po śmierci nie został, no i można dziecko z wody ochrzcić. Ksiądz przywołał chłopa i kazał mu zaraz jechać do Wielunia po doktora Domagalskiego, który jeszcze kobietę uratował.

Drugi poród, przy którym byłam z moją znajomą, odbył się w ten sposób, że mąż musiał przywieźć ginekologa. Oczywiście, że baby nas chciały zakrakać, że jak już będzie doktor to dziecko musi umrzeć i matka. Ale doktor przyjechał, chora dostała narkozy, bo lekarz zrobił poważny zabieg. Dzieciak oczywiście po wymóżdżeniu ważył czternaście funtów, ale matka żyła. Zapowiedział babom lekarz, żeby chora była na diecie, bo mogłaby dostać

popologowej gorączki, gdyż przeszła ciężką operację. Tyle co lekarz odjechał, moja znajoma bała się, że baby będą chciały coś po swojemu zrobić. Oczywiście w sam raz trafiła, kiedy chciały dać chorej jaja zupełnie na twardo usmażone. Tak się zdenerwowała, że im te jaja wszystkie do cebra w pomyje wyrzuciła i sama się chorą opiekowała do wyzdrowienia. Kobiety były organicznie silne. Pamiętam, że kobieta, która podczas grabienia owsa urodziła w polu dzieciaka (nie wiem, jak sobie dała radę, bo dobry kawał drogi), przyszła sama do domu i za kilka godzin urodziła drugie. Nawet mówiła, że nie ma potrzeby kłaść się do łóżka. Noworodki przeważnie były niedbale chowane. Nie tylko, że o higienie nie było mowy, ale dzieci maleńkie były chowane kompletnie bez opieki. Niemowlęta kąpane były przeważnie w nieckach, w których się gniotło kluski i wyrabiało chleb. Bielizny dzieciak miał bardzo mało. Pieluszki były z jakichś okropnych szmatek. Dzieciak maleńki był brany w pole i tam ustawiało się trzy drągi, przywiązywały matki do drągów płachty, które wisiały w rodzaju torby. Tam kładły kobiety poduszki. Dziecka na zewnątrz takiej kołyski nie było widać. Wiecznie spocone, zmęczone bujaniem, bo drugie młodsze ciągle je huśtało.

Dzieci starsze też były bez opieki. Widziałam, jak matki przeważnie w niedzielę znajdowały trochę czasu, aby dziecko wymyć, z insektów oczyścić. Kobiety na wsi, nawet bogatsze, były bardzo zapracowane. W polu musiały pracować, koło drobiu, świń i krów. Przeważnie pracowały kobiety i w polu, i w obejściu, dlatego dzieci i porządek w izbach były w opłakanym stanie. Nawet zimową porą trzeba było dużo pracować - wełnę grępłować ręcznymi grępłami. Grępłe to były szczotki nabijane drutami. Potem szło przędzenie wełny, lnu. Z pierzem było lepiej, bo z kilku chałup schodziły się dziewczyny na wyskubki i po kolacji wszędzie skubano pierze. Oczywiście było weselej, bo razem można było pośpiewać, pożartować, obmówić kogoś. Gospodyni zawsze jakąś dobrą kolację zrobiła. Pod koniec wyskubek była kawa i biały chleb, i jakaś tań-

cówka.

W zimie zawsze były lepsze porządki, bo z Niemiec córki poprzyjeżdżały, przeważnie panny. Z Niemiec córki matkom przywoziły różne ubrania, garnki, miski. Właśnie jak ludzie zaczęli jeździć do Niemiec, to zaczęli zwozić naczynia emaliowane, porządniejszy przyodziewek. Bo wieś przeważnie chodziła w samodziałach - mężczyźni w długich sukmanach koloru czarnego albo ciemnogranatowego. Sukmana była przybrana świecącymi guzikami, spodnie były wpuszczane do butów. Kobiety ubierały się w wełniaki jaskrawe i zapaski wełniane. Nawet kaftany nosiły z samodziału. Pod szyją nosiły fryzki i dużo korali. Zamiast chustek nosiły także zapaski. Dzieci były biednie ubierane. Chłopcy nawet do dwunastu i piętnastu lat nosili spodnie wszywane w stanik z rękawami. To bardzo nieładnie wyglądało. W mieszkaniach było bardzo dużo obrazów. Pod dużymi obrazami wisiały małe obrazeczki, między dużymi obrazami wisiały też jakieś obrazeczki. Ściany były dosłownie pozawieszane świętościami i wycinkami z różnokolorowych papierów. Stół też był ubrany w różne figurki święte i krzyż. Na stole zawsze stały bukiety z bibułki zrobione. Krzeseł za moich czasów przeważnie ludzie nie mieli, były ławki. Do wody były drewniane konwie. Łóżka były strasznie wysoko ścielone. Nieraz poduszki sięgały po sufit. Z jednej strony łóżka poduszki

były zakładane. Podłóg przeważnie nie było. Po zamiataniu kobiety posypywały podłogi żółtym piaskiem. Jak zamiatały, wytwarzał się ogromny kurz. Much w izbach było bardzo dużo. Najwięcej mnie gniewało, jak widziałam, jak nieczysto kobiety chleb wypiekały.

Bochenki zrobione z ciasta pod pierzynę wkładały, aby w cieple wyrastały. Która z kobiet lubiła porządek, to kładła pod chleb świeżą płachtę, ale więcej było takich, co prosto po wypędzeniu rano dzieci z łóżka kładły chleb. Chałupy były bielone wapnem. Sufit przez kilka lat po wybudowaniu był nie bielony, a miotłą przed bieleniem myty. Chałupa na zewnątrz często była bielona. W oknach było dużo kwiatów, przeważnie pelargonie, ale niełądnie wyglądały kwiaty w oknach, bo rosły w różnych dziurawych garnkach. Jak dziewczyny przyjeżdżały z Niemiec, to był w izbach lepszy porządek. Nauczyły się też w Niemczech robić na drutach i robiły dla rodziny pończochy, rękawice o jednym palcu.

Żyłam na wsi w bardzo młodym wieku, więc mi jest trudno opisać nastawienie chłopa do dworu czy w ogóle jego psychikę. Chłop był nieufny, bo dwór nigdy nic nie zrobił, żeby do siebie zbliżyć człowieka ze wsi. Chłop nie lubił dworu, bo musiał iść na pańskie robić, dzień za 15 kopiejek, a jeszcze ekonom dobrze poganiał. Jak mówili, że Krasowski Adam jeździł na bale, to se tyłek trzydziestopięciorublówkami wycierał. A już go lokaje znali, no i cieszyli się.

Wieś nie miała przestrzeni na pobudowanie domów od siebie daleko. Budowali ledwie o granicę lub parę metrów od siebie. A między budynki kładli drewno opałowe, gałęzie, pieńki i inne. Kiedyś powstał pożar. Było to przed samymi żniwami, ludzie byli w kościele. Pożar powstał w jakiejś chałupie i cała wieś, jak mówili, poszła z dymem. Na wsi nie było straży pożarnej. Mieli ręczne sikawki, ale te nic nie mogły zrobić, bo pożar szybko przybrał wielkie rozmiary. W przeciągu dwóch godzin spaliło się dziewięćdziesiąt przeszło domów. Moc bydła się spaliło: świń, koni najwięcej, bo krowy były na pastwisku. Okropny był widok. Nawet to, co ludzie zdążyli wyrzucić z mieszkań, paliło się na polu. Spaliło się w tym pożarze kilkoro dzieci, kilka kobiet. Aby pożar zlikwidować nie było sikawek, bo chłopom kazali trzymać w pogotowiu jakieś drągi, do których były przymocowane szmaty i dusili tym ogień. Część ludzi podczas takiego pożaru latała z obrazkami św. Agaty wokoło ognia i sypała sól św. Agaty w ogień, aby się od chałup odwróciło.

Po ugodzeniu się dworu z chłopem na tak zwany serwitut mógł pan majątek rozparcelować. Chłopi znów mówili: my będziemy bankowi płacić, a pan nam zabierze grunt, kiedy będzie chciał, pan zawsze znajdzie swoje prawo. I tak mędrkowali. Jednak znalazło się paru mądrych chłopów, a szczególnie Dobras. Pojechał on i drugi biedny gospodarz, Rabokowski, z moim ojcem do generałowej, która mieszkała w Odessie i kupili od niej za bankową spłatę kilkaset mórg ziemi. Inni gospodarze, widząc, że ludzie, którzy niby zaryzykowali, mają się lepiej, drapali się po głowach i mówili: nie wytrzymają, albo im pan dzierżawca znów odbierze, albo rząd. Taka to była straszna nieufność. Ale Dobras Wojciech, chłop światlejszy, chociaż nie umiał pisać, podkręcał wąsa i uśmiechał się swoim mądrym uśmiechem, trochę kpiarskim, mówiąc: wy sąsiady się mortwta jedząc suchy chlib i cekajta, ze mi odbiera, a jo byde cekoł, smarując chlib masłem z miodem, zobaczymy kto lepiej wyjdzie. No oczywiście, że nikt nigdy im tej ziemi nie odebrał. Dziś na niej już drugie pokolenie gospodaruje.

Dobras Wojciech był światły, choć nie umiał pisać. Zawsze pragnął, aby była szkoła. W braku szkoły prosił mojego ojca, aby mu uczył dzieci czytać i pisać. Oczywiście, że dzieci były zdolne i choć tylko ojciec mój im godzinę poświęcał na uczenie dziennie, szybko uczyły się czytać i pisać, a Dobras ino wąsa podkręcał i cieszył się, że jego dzieci mądrzejsze będą od innych sąsiedzkich. W ogóle był mądry swoim chłopskim rozumem. Mieszkali u niego Żydzi. Ksiądz Chrzanowski chodził po kolędzie i nie chciał do Dobrasów wejść na wizytę

pasterską, że to Dobras trzyma we wsi parszywą owcę. Żona Dobra-sa pochlipała, dzieciom było przykro, że nie dostały obrazków, ale sam Dobras mówił: niech ino mu zaniosę rubla na ofiarę, to się nawet nie zapyta, czy rubel jest za komorne od Żyda, ino weźmie. A dziecko, jak mi się urodzi, to do samego gubernatora pojadę, a musi je ochrzcić. Mawiał też: nie będę nikogo słuchał, jakby Jezus nie chciał, to by i Żydów na świecie nie było. Ogromnie lubial Dobras konie. To była jego wielka przyjemność. Naprawdę nikt w Szynkielewie takich pięknych koni nie posiadał. Koniokrady wykradły mu raz taką parę koni, to z chłopską zawziętością chodził pół roku po jarmarkach. W końcu gdzieś koło Krakowa je poznał i po paru rozprawach odebrał. Nawet pies u Dobrasów jakoś lepiej wyglądał jak u innych. Patriotą nie był, nie znal historii Polski. Często mi opowiadał, jak to jego dziadek bił się z panem w powstaniu w Parzymiechach i że panowie dostali w kość, a po tym śpiewali: niescęśliwe Parzymiechy, więcej smutku jak uciechy. Ogromnie się to słuchaczom podobało.

Chłopi byli ogromnie przywiązani do czasów, w jakich żyli. Nigdy nie słyszałam, żeby narzekali na to, że Polska w niewoli. O carze zawsze mówili, że nasz pon cysorz lepsy od Wi-lusia. Zdarzało się, że portret carskiej rodziny wisiał między obrazami. Tak samo ci, co do Niemiec wyjeżdżali, przywozili znów portrety Wilusia z rodziną i tak samo je wieszali.

Rozmawiałam często w niedziele z ludźmi, jak przychodzili, żeby im pisać lub czytać listy, które przychodziły z Niemiec. Naprowadzałam ich na tematy, że gdybyśmy nie byli w niewoli, to na pewno byłoby lepiej, bo tak to cóż. Kogo Polacy obchodzą? Muszą cierpieć biedę. Widziałam, że to im nie trafiało do przekonania i zaraz zaczęli o czym innym mówić. Tematy rozmów często między chłopami były takie: a jak to długo tej ziemi od dworu nom cysorz nie daje, a może by się z dziedzicem ugodzić, bo przecież te, co wziny od jenerałowej, mają się dobrze. Jedni tak komentowali, drudzy inaczej: nie za-zdrośta im, bo jak się za nich wezmą, to im kosuli nie starczy. Tak im na gadaniu i na paleniu siekanki schodziło. Siekanką nazywali najtańszy tytoń. W takie wieczory można się było nasłuchać, jak opowiadają o służbie dwudziestopięcioletniej w wojsku za Ruska. Widziałam u niektórych starych żołnierzy szynele, w których przyszli z tej służby. Starych żołnierzy wszyscy słuchali. Oni to już widzieli dalszy świat i inne obyczaję. Szli tam młodzi, przychodzili starzy. Bardzo często zapominali mowy ojczystej, albo żenili się z Rosjankami.

Często w letnie noce wypasali dziedzica pasze, koniczynę. Przeważnie paśli konie. Koń często pękł z tej obżerki. Nocnymi pastuchami byli sami gospodarze. Opowiadali sobie o strachach, o pomorach i wojnach. Wszystko, co mówili, były to przeważnie rzeczy zasłyszane, bo przecież czytać nie umieli. Wszystko szło zawsze z ust do ust.

Pamiętam też koszary... Koszary mówili na mieszkania folwarczne. W dachach same dziury, podłogi gliniane, po deszczu zawsze było można się ślizgać po tych podłogach. Wokoło takich koszar pełno gnojówek, dzieci głodne i brudne, bo matki na pańskie musiały iść robić. Szłam nieraz z mamą przez wieś, to mi mówiła: państwo powozami jeżdżą i bale wyprawiają, lepiej by dla dzieci zrobili ochronkę. A ja myślę: może nie jest tak źle, jak mama mówi. Widzę, jak dziedziczka albo dziedzic przechodzi przez wieś, to ludzie starzy i nawet dzieci ich po rękach całują. Pytam się mamy: dlaczego ich całują, jak są złe? Mama mi mówi: muszą, bo są biedni.

Stefania Różewicz

"Rok 1921, 9 października"

Czułam się cały dzień dość źle. Poszłam wieczorem na różaniec, idąc z kościoła uczułam bóle, które nie dały mi iść do domu. I wtedy poczułam jakiś lęk, że mogę na ulicy urodzić moje dziecko. Stałam oparta o ścianę, kiedy mnie spotkała znajoma pani i zaprowadziła do domu. Za dwie godziny, o godzinie dziewiątej, urodził mi się syn.

Troszkę byłam rozczarowana, bo bardzo pragnęłam córki. Dzieciak urodził się zdrowy, tłuścioch. Miał długie czarne loczki, które sięgały prawie do połowy szyi. Dziecko było nadzwyczaj spokojne. Ojciec był dumny, że ma drugiego syna. Starszy braciszek, Januszek, ciągle mnie pytał, którędy bocian mu przyniósł braciszka. Musiał mu ojciec otworzyć oberluft i pokazać, jak to bocian skorzystał z tego, że okno było nie zamknięte i podrzucił braciszka.

Syn nowo narodzony taki był spokojny, spał świetnie; nieraz wstawałam w nocy i zaglądałam do kołyski, czy aby się nie udusił, że nic go nie słychać. Synowi daliśmy na imię na chrzcie Tadeusz, bo starszy braciszek miał na to imię wielką ochotę. Pytałam się: Nusek, jakie dać imię braciszkowi, odpowiedział mi - Tadeusz Kościuszko. A poszło stąd upodobanie, bo u nas wisiał duży portret Kościuszki.

Chrzest odbył się w kilka tygodni po narodzeniu syna. Na chrzestnych rodziców poprosiliśmy znajomych: na chrzestnego ojca był zaproszony kolega z branży sądowej, a na chrzestną matkę sąsiadka. Chrzestni rodzice byli ubrani wizytowo na uroczystość. Mój mały synek był ubrany do chrztu na biało, tak jak wtedy było modnie: jedwabie i koronki. Gości na chrzcinach było sporo. Wszyscy się dzieckiem zachwycali. Dochrztu jechaliśmy dorożką. Jechała z nami nasza służąca i nasz starszy synek, który siedział u mnie na kolanach i pytał, czyjego też tak wieźli, jak był mały, do chrztu.

Chrzestni rodzice oddali mi dziecko w domu po chrzcie, życząc wiele dobrego mnie i dziecku. Na pamiątkę od chrzestnych rodziców chrześniak dostał jakieś pieniądze do poduszki. No, a potem przy uczcie, to znaczy na chrzcinach, pito, jedzono i mówiło się najwięcej o bohaterze dnia: a to, że przy chrzcie nie płakał jak inne dzieci, to, że się nawet nie skrzywił, jak mu ksiądz sól do buzi kładł. Inni mówili: takie to grubiutkie i różowe, może księdzem będzie, szkoda że nie ma na imię Franek. Goście jedli, pili, toasty wznosili, bo wypić było co zawsze. O to się ojciec starał. Ojciec mówił: gość w domu, Bóg w domu, a że to syn, trzeba podwójnie, godnie popić. Córka, mówił ojciec, też dziecko, ale to już nie to, co chłopak. No i jedli, i pili, zaśpiewali kilka piosenek sentymentalnych, kilka ojczyźnianych, w końcu sto lat i kochajmy się i wszyscy się po-rozchodzili. Moja dziewczyna też bardzo była zadowolona, bo goście byli dość weseli i dobrze usposobieni dla domu, więc jej, jak się to mówiło, na piwo nie żałowali.

W 1921 r., kiedy nam się urodził syn Tadeusz, mieszkaliśmy na ulicy Reymonta. Zajmowaliśmy dwa małe pokoiki z kuchnią i przedpokojem. To było zaraz po wojnie, o mieszkanie było bardzo ciężko. Ludzie bez policji nie mogli się nigdzie wprowadzić. I myśmy musieli przyjąć kolegę ojca z żoną i córeczką. Tak żeśmy się męczyli około dwóch lat. Ja z dziećmi wyjeżdżałam na wieś.

Żyło się więcej niż skromnie, o żywność było bardzo trudno. Pamiętam, że ojciec przynosił jakieś przydziały z biura, które składały się z burej fasoli i jęczmiennej kaszy. Chleb był okropny, na przydział, mi się zdaje. Jedni mówili, że chleb jest z łubinu: jak pamiętam, to był jakiś zlepek jakby z sieczki i z ospy. Kuchnia była pod psem, przeważnie jedliśmy kartoflane kluski, kapustę, fasolę i krupnik. O słoninę było bardzo trudno. Rzeźnicy się bardzo bogacili, nieraz trzeba było dwa lub trzy kilometry iść i u jakiegoś pokątnego

handlarza kupić trochę słoniny. Mięso było najwyżej dwa razy na tydzień.

Zima w 1921 roku była ciężka, mrozy były wielkie, paliliśmy torfem, bo węgla było mało. Ceny, jakie były, produktów jadalnych i ubrania dokładnie nie pamiętam. Musiało być wszystko drogie, bo jak ojciec wziął pożyczkę jednomiesięcznej pensji, to wystarczyło, żeby kupić dość lichego materiału na spodnie. Na krawca już nie starczyło z tej jednomiesięcznej pensji. Na ubranie nie można było nic z poborów kupić. Wszystko przeważnie się kupowało u nas na weksle, które często szły do protestu. Przeważnie urzędnicy i nauczycielstwo kupowało na raty i na weksle. Było dużo ludzi z branży urzędniczej. Pożyczali na procent: od setki 10 zł miesięcznie. Taki urzędnik, jak nie mógł oddać prędko pieniędzy, to płacił tylko procent. W przeciągu dziesięciu miesięcy zapłacił 100 zł procentu, a suma na wekslu była ta sama do oddania.

Dzieci dożywiały się zaraz po wojnie żywnością z Ameryki. Żywność ta składała się z ryżu z zacierką, fasoli, kakao, bułki. Z ubrania jakieś ciuchy, przeważnie buty. To rozdawały jakieś stowarzyszenia dobroczynne. Ojciec tego roku, o którym piszę, nie miał palta, przerobił sobie z koca, a ja kupiłam sobie buty na raty. U Generowicza nie można było nic kupić. Jak mi się miał syn urodzić, nie mogłam kupić siennika, uszyłam siennik z kretonowej firanki w kwiaty. W ten sposób mój syn się urodził w kwiatach.

Pamiętam, że wszystko drożało z dnia na dzień. Przed 1924 r. już się liczyło na miliony. Wymiana pieniędzy była w roku 1924. Żywność i ubranie zaczęło od tego roku tanieć. O ile sobie przypominam, to od jakiego 1926 roku ludzie zaczęli się ubierać, meblować i dobrze jeść.

Wracam do mojego synka urodzonego 9 października 1921 roku. Dziecko było zdrowe i dobrze się rozwijało, w szóstym miesiącu dostał synek pierwszego ząbka. W domu była wielka radość, ząbek zobaczyła nasza służąca, która dostała za to prezent. Karmiłam piersią dziecko do dziesiątego miesiąca.

W ósmym miesiącu życia, w maju, kazałam dziecku szczepić ospę. Ospę szczepił w Osjakowie lekarz z Wielunia. Bardzo tego dnia się cieszyłam, bo lekarz podniósł mojego synka wysoko ponad swoją głowę i powiedział: patrzcie matki, tak czysto i zdrowo powinno wyglądać każde dziecko. W czerwcu dziecko dostało dyzenterii i dobry miesiąc było ciężko chore, nieomal nieprzytomne z osłabienia, ale w pierwszych dniach lipca zaczęło dziecko być coraz zdrowsze i pierwszy raz uśmiechnęło się do białego konia.

Pierwsze słowo, jakie dziecko wymówiło, było "mama". Już po roku życia dziecko dość dużo wyrazów mówiło wyraźnie: na dziewczynę Aśka, bo słyszał jak myśmy wołali Staśka, a na starszego braciszka Usek, bo Januszek. Samo dziecko zaczęło chodzić, jak skończyło rok i miesiąc: koniecznie dziecko chciało samo już biegać, a jeszcze nie mogło. Brałam ręcznik, przepasałam dziecko przez pół i prowadzałam.

Sprawiał nam zawsze dzieciak wiele radości swoimi różnymi odruchami i powiedzeniami, które tylko ono w swoim świecie widzenia i myślenia rozumiało. W polu, jak chciał zerwać kłosek zboża, a nie mógł, krzyczał do kłoska: puść, puść. Myślał pewnie, że tam w ziemi ktoś trzyma. A jak się o co obraził, wchodził pod stół i wołał: poszedłem w świat. Jeszcze dzieciak nie miał dwóch lat, jak dostałam atak nerki. Pamiętam, jak przyszedł do łóżka i płacząc mówił: musia, niech cię boli, a nie umieraj. W ogóle bardzo się wszystkim interesował, a najwięcej zwierzętami.

W trzecim roku życia dziecko już paciorek krótki na pamięć samo odmawiało. Serce miało

dobre takie maleństwo, a powodowało się litością. Było maleństwo, a jak zobaczyło biednego dziadka lub babkę, to leciało za niemi i mówiło: chodź do nas, to wam mamusia da. Przypominam sobie kiedyś rozmowę z mężem. Miałam na utrzymaniu kuzyna, który chodził do gimnazjum, zawsze mówił, że będzie księdzem. Zaczęło u nas być ciężko. Mówię do męża: trzeba, żeby sobie kuzyn jakoś radził, może by poszedł do bursy. Nie myślałam, że w ogóle dziecko słyszy, co my rozmawiamy, a Tadzio przychodzi i mówi: mamusiu, ty chces być w piekle czy w niebie? Mówię: synku, no ja chcę być w niebie. A dziecko mówi: to właśnie bedzies w piekle. Pytam: za co. A ono: on chce być księdzem, a ty mówisz, żeby od nas poszedł. Ten argument do mnie bardzo przemówił.

Starszy braciszek już miał sześć lat, a Tadzio był o trzy lata młodszy. Doskonale się bawili. Nieraz zdumiona byłam pytaniami i ciekawością dziecka. Stale pyta: a dlaczego, a po co, a na co? Dziecko kiedyś zadaje sąsiadce pytanie, ona opowiada, że jest teraz biedna, a dawniej miała młyn i dużo indyków i kaczek. A dziecko mówi: proszę pani, trzeba było te kaczki i indyki ułożyć w brzuchu i po jednej teraz wyciągać i nie byłoby głodu. Januszek zawsze mówił: ja będę pisał bajki, bo bardzo lubiał czytać i słuchać (pięć lat mając). A Tadziu mówił mając trzy lata: a ja będę zezbiarz albo gospodarz, będę miał konika i chałupkę, i pole.

W 1924 r. urodził mi się syn trzeci. I tak samo jak w 1921 r., kiedy się urodził Tadziu, ojciec pokazał Januszkowi, którędy bocian podrzucił braciszka, tak teraz ja pokazałam Tadziowi, że braciszka Stasia wrzucił bocian dymnikiem na strych.

Tadeusz urodził się 9 października 1921 r. w Radomsku, ulica Reymonta 12, koło rzeczki Radomki.

"Ręce w kajdanach"

Na kraty spływa jasność
na niewidzące oczy
na beznadzieję godzin
na nocy beznadzieję
Usta otwarte jak rana
i ręce ręce w kajdanach
i matki będą płakały
nad umęczonym ciałem
Ręce matczyne są słabe
od męki drżące i trwogi
niech słowo stanie się ciałem
a jasność niech stanie się Bogiem
Toć nasi synkowie też byli
Jak Twój słabiutki maleńki
dla Niego dla synka Twojego

i naszych osłoń od męki
A gwiazda w kraty wpleciona
oślepłym oczom jaśnieje
na beznadzieję godzin
na nocy beznadzieję.

"Dwa wyroki"
Widzę uśmiech
zdjęty z jego białej twarzy
po murem.
Zwaistun śmierci Nieznajomy
schyli głowę
niżej.
Widzę
śmieszny posąg boleści
w przydeptanych pantoflach
przy kuchni
małą krzywą
firgurkę
skamieniałej matki.

"Martwy owoc"
Są gruszki złote na talerzu
kwiaty i dwie dziewczyny młode
Na stole fotografia chłopca
jasny i sztywny w czarnym kepi
Dziewczyny mają miękkie wargi
dziewczyny mają słodkie oczy
Przez pokój idzie biedna matka
poprawia fotografię płacze
Gasną na stole złote słońca
i martwy owoc jej żywota.

"Kasztan"
Najsmutniej jest wyjechać

z domu jesiennym rankiem
gdy nic nie wróży rychłego powrotu
Kasztan przed domem zasadzony
przez ojca rośnie w naszych oczach
matka jest mała
i można ją nosić na rękach
na półce stoją słoiki
w których konfitury
jak boginie ze słodkimi ustami
zachowały smak
wiecznej młodości
wojsko w rogu szuflady już
do końca świata będzie ołowiane
a Bóg wszechmocny który mieszał
gorycz do słodyczy
wisi na ścianie bezradny
i źle namalowany
Dzieciństwo jest jak zatarte oblicze
na złotej monecie która dźwięczy czysto.

"Ściana"
Odwróciła twarz do ściany
przecież mnie kocha
dlaczego odwróciła się ode mnie
więc takim ruchem głowy
można odwrócić się od świata
na którym ćwierkają wróble
i młodzi ludzie chodzą
w krzyczących krawatach
Ona jest teraz sama
w obliczu martwej ściany
i tak już zostanie
zostanie pod ścianą
ogromniejącą

skręcona i mała
z zaciśniętą pięścią
a ja siedzę
z kamiennymi nogami
i nie porywam jej z tego miejsca
nie unoszę
lżejszej niż westchnienie.

"Powrót"
Nagle otworzy się okno
i matka mnie zawoła
już czas wracać
rozstąpi się ściana
wejdę do nieba w zabłoconych butach
usiądę przy stole i opryskliwie
będę odpowiadał na pytania
nic mi nie jest dajcie
mi spokój. Z głową w dłoniach
tak siedzę i siedzę. Jakże im
opowiem o tej długiej
i splątanej drodze.
Tu w niebie matki robią
zielone szaliki na drutach
brzęczą muchy
ojciec drzemie pod piecem
po sześciu dniach pracy.
Nie - przecież nie mogę im
powiedzieć że człowiek człowiekowi
skacze do gardła.

"Kopiec"
Usypali nad nim kopiec
z przyjazdów i odjazdów
z czasu i przestrzeni
z ludzi rzeczy zdarzeń

masła kawy gazet
z zielonych pluszowych albumów
bromu kwiatów
i sztucznego śmiechu
Prawie wszyscy się zjechali ,
na stole liść miedziany leży tu
popiół sypią
Matka rozgrzebuje kopiec
i wydobywa młodą głowę
z jasnego promienia z
pachnącymi tytoniem
szerokimi ustami
to On
po którego nie wybiega się
przed dom
który nie zasnął w malinach
który nie przyjedzie jutro
Matka żywcem pogrzebana
w powietrzu przy stole
porusza niemrawo
palcami.

"Zabawa w konie"
Kanarek żółty
jak cytryna
w drucianym koszyku
babcia w czepku
złowiona
w siatkę zmarszczek
ojciec z czołem ukrytym
w chmurze dymu
chłopcy rżą
rozpuszczają grzywy na wiatr

biją kopytem
w niecierpliwą ziemię
matka chwyciła
wspaniałego rumaka
w białych szelkach
i całuje kwaśną mordkę
pełną szczawiu

"Ale kto zobaczy..."
Ale kto zobaczy moją matkę
w sinym kitlu w białym szpitalu
która trzęsie się
która sztywnieje
z drewnianym uśmiechem
z białymi dziąsłami
Która wierzyła przez pięćdziesiąt lat
a teraz płacze i mówi:
"nie wiem... nie wiem"
jej twarz jest jak wielka mętna łza
żółte ręce składa jak przestraszona
dziewczynka
a wargi ma granatowe
ale kto zobaczy moją matkę
zaszczute zwierzątko
z wytrzeszczonym okiem
ten

ach chciałbym ją nosić na sercu
i karmić słodyczą.

"Kobieta w czerni stąpa po różach"
Obraca żółtą twarz wyżartą
przez troski do dobrego
słońca i wtedy uśmiech
który jest już tylko zabliźnioną
raną rozjaśnia ją.

Dogasająca widzi na drodze
swojego życia jedną różę
więc i ona stąpała po różach
pochylona nad tym
dziwnym kwiatem ze świata
żywych myśli o podeptanym
szczęściu.
Myśli o synach którzy odeszli
od niej w szorstkich mundurach
odeszli twardym krokiem a obce
kobiety rzucały im pod żelazne
stopy czerwone róże.
I ten najmłodszy urodzony
w czepku odszedł w stalowym
hełmie i nie mogła go
pogładzić po głowie
biegła wtedy za nimi porażona
płomieniem złotych wielkich trąb.

Teraz idzie po tej drodze
sama i niesie mały chleb
którego nie trzeba już dzielić.
Obraca zgasłą twarz do słońca.
Oto skaza światła
padła na kamienną drogę
na drogę z żelaznych krzyży
na drogę z czarnych marmurów
z których wychodzą figurki
białych pulchnych dzieci.
Z nieba zwiesza się słodkie
grono martwych aniołków.

"Zły syn"
Patrzę przez okno
w różowych kwiatkach

na dworze koty mokną
i moja stara matka
czerpie żółtą wodę
rękami świętej

w oknie stoi jej młode
źle uśmiechnięte
1941

"Łza" - Matce poświęcam
Dzień za dniem spada
i pamięć ucieka
Lat co minęły
jak mija westchnienie
Choć z nich trysnęły
krew i przerażenie
I tylko czasem
cienie powracają
Strumieniem łez na oczy
i piersi spadają
I obmywają zwykłe
ludzkie winy
I znów biegniemy
przed światła dziedziny
Jest dzień Dzień przed nami
jak ptak szumny leci
Dzień ciemności połknął
i jak gwiazda świeci
1951

"Powrót do lasu"
Kiedy zamknę oczy to słyszę
Głos ptaka skrzyp sosen
Lasu płytką ciszę
Zmąconą naszym śmiechem

Widzę las gdzie z wami
Zbierałem jagody
Ciało wtenczas było ruchliwe
I młode jak wody
Wracaliśmy do domu
Z czarnymi ustami
Bose nogi jak skrzydła
Świeciły uciekając w kurzu
Już dom widać Dym
Na niebie pełznący cierpliwie
I matkę w oknie
Z dłonią nad oczami

"Domek"
Ja domek dla umarłych
znaleźli tu swoje
ostatnie schronienie
ruch rąk
w moją stronę
weź mnie
ze sobą weź
nie puść
zostałem otwarty
i zamieszkali
w zimnym
pustym
ciemnym
taka jest
ich
światłość wiekuista
takie grzechów odpuszczenie
ciała zmartwychwstanie
taki żywot wieczny

"***"

Asyż gniazdo
na spękanej skale
białe ptasie
jaje
niosłem
ten krajobraz
różowiejący
do mojego
miasta
nie doniosłem
trzeciego dnia
twój uśmiech
zaczął się psuć
oddałem Cię ziemi
spływa rzeka
zapomnienia
na oczy usta
na twoje stopy
obute w papierowe
pantofle

"* * *"

O świcie światło
rysuje węglem
ziemistą twarz
matki
Rozpala pod blachą
ognisko domowe
trzask szczypki
zapach zrębu żywiczny
płomień szerzy się
i huczy
w oknie widzę niebo
w niebie słońce
dokoła stoją wasze twarze

ich rysy
nie będą już powtórzone
1963

"Drzwi"
W ciemnym pokoju
na stole stoi kieliszek
czerwonego wina
przez otwarte drzwi
widzę krajobraz dzieciństwa
kuchnię z niebieskim czajnikiem
serce Jezusa w cierniowej koronie
przeźroczysty cień matki
w okrągłej ciszy
pianie koguta
pierwszy grzech
białe ziarnko w zielonym
owocu miękkie
gorzkawe
pierwszy diabeł różowy
poruszający półkulami
pod jedwabną suknią
w groszki
uchylają się
w oświetlonym krajobrazie
trzecie drzwi
a za nimi we mgle
w głębi
trochę w lewo
albo w środku
widzę
Nic
1966

"Cierń"

nie wierzę
nie wierzę od przebudzenia
do zaśnięcia
nie wierzę od brzegu do brzegu
mojego życia
nie wierzę tak otwarcie
głęboko
jak głęboko wierzyła
moja matka
nie wierzę jedząc chleb pijąc wodę kochając ciało
nie wierzę
w jego świątyniach
kapłanach znakach
nie wierzę na ulicy miasta
w polu w deszczu
powietrzu
złocie zwiastowania
czytam jego przypowieści proste jak kłos pszenicy
i myślę o bogu
który się nie śmiał
myślę o małym
bogu krwawiącym
w białych
chustach dzieciństwa
o cierniu który rozdziera
nasze oczy usta
teraz
i w godzinie śmierci

"Złote góry"
Pierwszy raz
zobaczyłem góry
w dwudziestym szóstym
roku życia
Nie śmiałem się

nie krzyczałem
w ich obliczu
mówiłem szeptem
Kiedy wróciłem do domu
chciałem opowiedzieć
matce
jak wyglądają góry
Trudne to było opowiadanie
w nocy
wszystko wygląda inaczej
i góry i słowa
Matka milczała
może usnęła
zmęczona
W chmurach
rósł księżyc
złota góra
biednych ludzi
1955

"***"

krzyknąłem na Nią
przed dziesięciu laty
odeszła
w pantoflach z czarnego
błyszczącego papieru
"nie tłumacz się
- powiedziała
- nie trzeba"
krzyknąłem na Nią
w pustym
szpitalnym korytarzu
był lipiec upał
łuszczyła się farba olejna
na ścianach

pachniały lipy
w miejskim pokrytym kopciem
parku
ja bezbożny
chciałem dla niej wypłakać łąkę
kiedy konając
odpychała zdyszana
puste i straszne zaświaty
wróciła na mgnienie oka
do siebie na wieś
chciałem dla niej wyżebrać
w ostatniej godzinie
drzewo
chmurę ptaka
widzę jej stopy drobne
w dużych papierowych
trumiennych pantoflach
siedziałem między
stołem i trumną
bezbożny chciałem cudu
w przemysłowym zdyszanym
mieście w drugiej połowie
XX wieku
ta rzecz płacze
wyjęta ze mnie
na światło

"***"

Przedzierałem się przez ten sen
ciężko
do przebudzenia
w strumieniach ciepłych
łez słów
szła do mnie matka
Nie bój się jesteś w ziemi mówiłem

nikt ci już krzywdy nie zrobi nie zrani nie dotknie
matka z tamtym strachem
tuliła się do mnie
nie bój się jesteś w ziemi
jesteś we mnie nikt cię nie dotknie
nie poniży nie zrani
przedzierałem się przez ten sen ciężko
przede mną stał Cień

"Fotografia"
dziś z dalekiego kraju
otrzymałem starą kartkę
widokówkę Erbalunga
Nigdy nie słyszałem tej nazwy
i nie wiem gdzie to jest
i nie chcę wiedzieć
Erbalunga
wczoraj otrzymałem
ocaloną fotografię matki
z roku 1944
matka na fotografii
jest jeszcze młoda piękna
uśmiecha się lekko
ale na drugiej stronie
odczytałem wypisane
jej ręką słowa
"rok 1944 okrutny dla mnie"
w roku 1944
został zamordowany
przez gestapo mój starszy brat
skryliśmy jego śmierć
przed matką
ale ona nas przejrzała
i ukryła to
przed nami

"Czerwone pieczęcie"

Komornik wszedł wielki czarny. Tylko w brodzie świeciły srebrne nitki. Burczał coś zapisywał w papierach szeleszczących. Chodził po naszym mieszkaniu i oglądał meble. Stawał się coraz większy i czarniejszy. Jego pomocnica pomalowana tłusta kobieta uśmiechała się. Każdy mebel którego dotknęli umierał. Uchodziło z niego ciepło. Patrzyliśmy ze strachem czy komornik nie przyłoży pieczęci na dobrej starej szafce. Czy nie wybierze z dwóch szuflad naszych żołnierzy i zwierzątek zamkniętych w pudełkach od zapałek.

Mówiliśmy szeptem. Meble stały teraz pod ścianami jak trumny. W mieszkaniu zrobiło się zimno.

Dopiero kiedy weszliśmy z bratem do łóżka które zaskrzypiało nakryci na głowę pierzyną zaczęliśmy mówić głośno. Modliliśmy się o cud.

Ale rano w zimnym świetle pięć czerwonych pieczęci broczyło jak pięć ran.

"Wspomnienie z roku 1929"

Była to Wielka zima. Jabłonie i grusze rażone białym toporem mrozu pękały z hukiem. Wróble wpadały do kuchni albo martwe stukały w kulę ziemską. Matka posłała mnie z garnuszkiem gorącego barszczu do sąsiadów-bezrobotnych.

Głowa rodziny leżał pod czerwoną pierzyną do której przy-marzła biała kozia bródka. Na widok parującego garnuszka szarpnął bródkę i próbował ją oderwać od pierzyny. Wsypa zatrzeszczała złowrogo. Przestraszyłem się że staruszek złamie sobie bródkę i zacząłem na nią chuchać. Bródka odtajała. Staruszek zjadł barszcz z uszkami wytarł usta. Założył okulary i wziął do ręki książkę w kolorowej okładce. Odczytałem litera po literze Henry Ford Moja filozofia powodzenia.

Staruszek mrugnął do mnie porozumiewawczo okręcił się czerwoną pierzyną i zaczął czytać.

"Ojciec"

Idzie przez moje serce

stary ojciec

Nie oszczędzał w życiu

nie składał

ziarnka do ziarnka

nie kupił sobie domku

ani złotego zegarka

jakoś nie zebrała się miarka

Żył jak ptak

śpiewająco

z dnia na dzień
ale
powiedzcie czy może
tak żyć niższy urzędnik
przez wiele lat
Idzie przez moje serce
ojciec
w starym kapeluszu
pogwizduje
wesołą piosenkę
I wierzy święcie
że pójdzie do nieba
1954

"Odwiedziny dziadka" – Kochanemu Staruszkowi poświęcam
Przyjechał do nas ojciec
Żono - mówię - wyciągnij kieliszki
Staruszek zmarzł na kość
A cóż jest wart
kościany dziadek?
Dziadek zaciera ręce
coś tam zaczyna o pogodzie
"nie trzeba moja duszko
nie jestem głodny"
na palcach podchodzi do łóżka
w łóżku długa poduszka
w długiej poduszce wnuk
stuk stuk stuk stuk
Janek szare oczki otwiera
coś tam piszczy może wita
Na stole zaświeciła okowita
"oko wita" mówi dziadek
i do stołu siada
Jeden drugi trzeci
jakieś ciepło się rozchodzi

jakaś lodu bryłka taje
trzy po trzy się baje
dziadek mówi
"koń ma cztery nogi"
potem mówi
"cztery kąty a piec piąty"
po piątym piosenkę
dziadek zaczyna
"o tym gospodarzu
co nie ma chałupy..."
potem młodość wspomina
wieś rodzinną
różne kraje
o tym że był w Petersburgu
na Syberii w jurtach żył
z Kirgizami kumys pił
że miał zostać organistą
o duchach pannach mężatkach
o księżych gospodyniach
co pulchne i białe jak gołąbki
same leciały do gąbki
Dziadek siódmy krzyżyk dźwiga
nie dźwiga ale wywija
tym krzyżykiem jak laseczką
mówi
"jakoś tę taczkę żywota
powolutku człowiek pcha"
Potem znów w łóżeczko stuka
bierze na ręce wnuka
coś tam mruczy
coś tam kuka
w szare oczka go całuje
dym z komina pokazuje
za oknem
Potem zbiera się do drogi wszyscy dziadka całujemy i na święta zapraszamy

Mówi żona
, Jaś dziadkowi już coś powie
jakieś pierwsze ludzkie słówko"
Jaś w poduszcze
kiwa główką...
1954

"Łódź"
Nie płacz
przecież go nie kochałeś
on jest przedmiotem
który trzeba wynieść z domu
dyskretnie uchylone okna
w moim czarnym ubraniu
w łodzi
bez wioseł
opuszcza ten świat
odpływa
ojciec
drewniana trumna
utknęła w kwiatach
zielonych świerkowych wieńcach
papierowych wstęgach
ojciec przeżył
dziewięćdziesiąt lat
zmarł w lutym 1977 roku
nie płacz
przecież go kochałem
pod powieką niewielki obrazek
ojciec niesie zielone drzewko
krzyżak i siekierę
brnie
przez głęboki śnieg
na stole leżą kolorc
gwiazdy anielskie v

niech mu ziemia leką będzie

"Dwie siekierki"
kiedy Ojciec skończył
77 lat
powiedział do mnie
"dwie siekierki, Tadziu, j
ak człowiek przejdzie
przez me, to dalej
wszystko pójdzie gładko j
ak po maśle"
wypiliśmy pół litra wódki
Ojciec zapalił niespiesznie
papierosa
i zaczął wydmuchiwać i
kółka dymu
kółko
za kółkiem
leciały do sufity rosły rozpływały się
pamiętam jedno pytanie
z tej naszej urodzinowej rozmowy
"Tato, powiedz mi,
czy warto jest żyć?"
Ojciec przyglądał się kółkom dymu
strząsał popiół z papierosa
i powiedział
"pewnie, że warto!"
potem spojrzał na mnie
"co z tobą... Tadziu!..."
Wtedy zrozumiałem
że Ojciec nas kochał
ale o tym nie mówił
1999

"Tarcza z pajęczyny [fragment]"

Jadę przed trzydziestu laty na wieś, na wakacje. Autobus odchodzi z rynku. Mały żółty autobus. Nasz "wielki" kosz podróżny już na dachu. Siedzę z Matką i braćmi na podskakującym jak koń skórzanym fotelu. Trwoga ściska mi serce. Przecież to jedzie szofer Dubielak. "Diabeł, jak sobie wypije, to się na nic nie ogląda". Wszyscy wiedzą o tym i patrzą na plecy szofera w skórzanej, wytartej kurtce. Motor kaszle i prycha. Zmiana opony.

Przestrzeń pięćdziesięciu kilometrów pokonał "diabeł Dubielak" w dwie godziny. Wysiadamy z głowami ciężkimi od gazów spalinowych. Wlecze się wózek. Kolebią się półkoszki wiklinowe, siedzimy na wiązkach siana pokrytych kilimkiem. W cichym lipcowym słońcu skrzypią szprychy i mielą piasek. Gzy to konie, czy lipy pachną miodem. Przezroczystym, żółtym miodem. W południe furmanka zatrzymuje się w cieniu drzewa. Lecimy do lasu. W rowie przydrożnym czarne nagrzane jeżyny, pokryte białym kurzem, słodsze, pachnące so-ba.

Ściółka w lesie ostra sucha. Włochynie w granatowej mgle. Można się upić małymi owocami. Motylki modre i pomarańczowe.

Skrzyp wielkiej sosny. Znów szprychy przysypują piasek. Mijają godziny. Już widać znajomą porębę. Pod krzyżem siedzi stary Matusek z wierzbową witką. Pasie krowę. Siedział tu kiedy mój ojciec był takim chłopcem jak ja. Nie słyszy naszych głosów nie otwiera oczu. Twarz jego pokryta jest pajęczyną. Deszczem. Mchem. Nigdy nie opuścił granic wieluńskiego powiatu. Nigdy nie jechał koleją żelazną.

Ludzi którzy wracali z Piotrkowa albo Sieradza pytał: "Co tam za tom granicą słychać".

Kiedy zobaczył pierwszy samolot, podobny trochę do bociana, trochę do nietoperza, trochę do drabiny, ukląkł i zaczął się modlić: "Panie z wysokiego nieba, weź mnie do chwały Twojej". A później opowiadał przez dwadzieścia lat, że w samolocie siedziało dwóch ludzi. Mieli czarne wąsy, wielkie sklące oczy i jeden z nich grał na skrzypcach. Lecieli niziutko, dotknęli skrzydłami lasu i unieśli się do nieba...

"Matki Boskiej Gromnicznej"

...jak sięgnę pamięcią, tego dnia o świcie mama wyjeżdżała do Częstochowy. Jechała każdego roku, na Jasną Górę. Ojciec pod koniec I wojny światowej zapadł na grasującą po Europie "hiszpankę". Była to epidemia grypy, która pochłonęła miliony ofiar. Stan ojca był beznadziejny i matka złożyła "ślub", że do końca życia będzie jeździła 2 lutego, w dzień Matki Boskiej Gromnicznej, do Częstochowy, na Jasną Górę. Pamiętam taką zimę roku 1929. Chodziłem już do szkoły. W sadach i ogrodach "pękały" pnie drzew... Matka wracała wieczorem, ale zdarzało się, że pociąg miał spóźnienie i wracała w nocy. Dla nas ten wyjazd i powrót był niezwykły... Nie spaliśmy, to "czuwanie" łączyło się z pudełkiem ciastek, które Mama przywoziła z Częstochowy. W białym pudełku było 10 lub 12 ciastek i pamiętam, że były to rurki z kremem, grzybki z kapeluszem oblanym polewą czekoladową, kremówki... "napoleonki"...

"Dziennik gliwicki"

23 VI 957 r.

Dziś rano odprowadziłem Matkę do szpitala.

25 V, sobota, J957 r. Nie mogę pracować.

Wyjechać nie mogę. Muszę odwiedzić Matkę, jest tam sama.

Zresztą nie potrafię się zachować - śpieszę się, jestem pusty, ona potrzebuje serdeczności. W domu mnie drażni wszystko. Zacząłem pisać prozę.

Jest sobota - późne popołudnie. Sam w pustym mieście. Rozumiem matkę, że jej ciężko leżeć z tą umierającą obok kobietą.

Kiedy odchodziła korytarzem, była jak mała dziewczynka. Kocham matkę, jakby była moim chorym małym dzieckiem.

Uważam, że wszystkie moje wiersze - albo prawie wszystkie, jakie teraz ogłaszam, są niepotrzebne. Nie stwarza ich konieczność.

Żałuję czasu dla chorej matki, wypycham chłopców z pracowni, a potem czytam stare gazety, siedzę z ciężką głową nad papierami. Nie lubię swoich wierszy. Czy mogą być piękne?

Dziś od powrotu ze szpitala mam wyrzuty. Trzeba tam było posiedzieć dłużej niż te 15 minut. Potem chciałem jeszcze raz iść do szpitala - ale już było późno.

Czytam Sienkiewicza Bez dogmatu - chyba Prusa Le wspomnień cyklisty jest świadomą parodią. Leon Płoszowski jest serio, głupszy i śmieszniejszy. Prus był jednak mądrzejszy od Sienkiewicza. Nie widzę w naszych czasach pisarza, który jest odpowiednikiem Prusa. Prus był bardzo współczesny - żył ze swoim czasem. Jego Kroniki. Miałem dokładnie zapisać ostatnią rozmowę ze StafFem i znów tego nie zrobiłem.

27 V, poniedziałek, 1957 r,

Nie potrafię się skupić. Wściekłość narasta we mnie. Ani nie odpoczywam, ani nie pracuję. Siadam rano do pisania. W domu jakiś niepokój - choć niby wszystko jest spokojnie. Janek położony spać o trzynastej, choć zwykle idzie spać o piętnastej, już po pół godzinie się obudził i słyszę jego krzyk - idę do sypialni, zakładam mu sweterek, daję książeczki i "rewolwer" - pytam, czy nie chce siusiu. Mówię, że babcia Ko-złowska poszła do szpitala do babci Różewiczowej, i że on musi siedzieć cicho. Dla mnie, oczywiście, strata czasu - przerwa w kulejącym pisaniu i zupełna niemożność powiązania zdań. Stan tego opowiadania jest okropny.

Większość wierszy poetów współczesnych (patrz: "Twórczość", numer francuski) to grymasy literackie. Jeśli nie przełamie się tego - nie rozwali... nie zmartwychwstanie poezja.

Czerpanie ze "źródła" poezji ludowej to w naszym czasie złudzenie.

l VI1957 r.

W piątek 31 maja o godz. 20.00 otworzyłem radio, żeby wysłuchać dziennika wieczornego. Usłyszałem słowa "zmarł w Skarżysku Kamiennej nestor poetów polskich Leopold Staff..." Głos jeszcze mówił, ale ja zgasiłem radio. Wyszedłem na ulicę.

W poniedziałek 3 czerwca pojechałem na pogrzeb do Warszawy.

We wtorek 4 czerwca po południu poszedłem do mieszkania Staffów. Na ścianie domu przyklejona była klepsydra. Było tam imię i nazwisko, a pod tym "poeta".

Drzwi otworzyła mi siostra pani Heleny. Po dwóch, może trzech godzinach rozmowy poprosiłem, żeby otworzyła pokój Mojego Starego Przyjaciela. Weszliśmy tam razem. W pokoju byłem ok. 15 minut. Rozmawialiśmy o Hecuni, "piesku" uśpionym jeszcze za życia poety.

12 VI1957 r.

Byłem u Matki w szpitalu.

Pocałowała mnie w rękę i to było... dałbym swoją krew, żeby ją utrzymać przy życiu.

Wczoraj było przeszło trzydzieści stopni ciepła, dziś też gorąco. Nie mam ochoty wyjść do miasta. Czuję się osamotniony, opuszczony przez przyjaciół. Jednak wolę zdechnąć tu sam niż ocierać się o warszawskich literatów "moralistów". Coraz bardziej oddalam się nawet od najbliższych znajomych.

A czas, mój czas: moja krew upływa. Trochę żartobliwych wierszy (skąd żart?), słabych.

Sobota, 15 VI1957 r.

Nikt nie widzi, jak moje "zapasy" trwonią się i maleją w tej mieścinie, w tym wieloletnim zupełnym odcięciu i milczeniu. Teraz jest czerwiec. Wspaniałe pogodne dni - od tylu lat obiecywałem sobie, że posiedzę gdzieś w lesie, odetchnę... Tkwię tu w tym fabrycznym mieście. Matka leży w w szpitalu. ‚Jest mi wszystko jedno" - powiedziała wczoraj.

Nikt nie widzi, jak ginę, i tak jest dobrze. Moja zdrowa natura domaga się powietrza, wody, spacerów, wysiłku fizycznego... aleja siedzę w tych murach, bezowocne to siedzenie. Kilkanaście zapisanych kart.

Powinno się pisać jedną powieść przez całe życie albo jedną sztukę, albo jeden tom wierszy. (Tak robili Dostojewski, Czechów, Mickiewicz).

Literaci, którzy pisują "osobne" opowiadania, powieści, wiersze - są powierzchowni. Conrad pisał tylko jeden poemat; podobnie Żeromski. Nasi literaci jak motyle. Z kwiatka na kwiatek. Ale do niczego. Potrafią wszystko, a jakoś mało z tego pożytku. Mnie coś się udawało... ale u Filipowicza ta jedność wewnętrzna jakby się rysuje, lecz on ją psuje ostatnio.

To, co moi "krytycy" lub "koledzy po piórze" oceniali jako "powtarzanie się"... - mówili: "Tadeusz R. się powtarza" - to była i może jeszcze jest najcenniejsza rzecz w całej mojej twórczości. Uporczywe przerabianie, powtarzanie, wracanie do tej samej materii i tak... aż do końca. Inne rzeczy będzie już pisał inny człowiek. Inaczej nie można. Albo wpada się w literacką "gadaninę".

Poniedziałek, 17 czerwca J957 r.

Gorąco. Upały do 40 C. Czuję się bardzo zmęczony. Nie mogę myśleć. Teraz jest wieczór, trudno oddychać. Pracować nie mogę. Już od kilku lat marzę o tym, aby jeden miesiąc spędzić nad morzem albo w lasach. Nie mogę tego zrealizować. W tym roku mam nawet na to pieniądze. Ale teraz ruszyć się nie mogę. I nie chcę.

18 VI195 7 r.

Jestem na dnie. To prawie wygląda śmiesznie. Bo tego dna nie ma i trudno by wytłumaczyć najbliższej nawet osobie, na czym to polega. Jestem na dnie. Zwrot retoryczny, naprawdę zużyty, nic nie mówiący. A jednak... Wiem, że to, co piszę, nie ma sensu i wartości. Ale nie mogę krzyczeć.

Przecież powinienem już wiedzieć, że nie trzeba wzywać pomocy. Jakie złudzenia mam jeszcze? Kto mnie usłyszy? Matka.

Matka z dnia na dzień umiera. Tłoczą w nią obcą krew. A ona leży tam od wielu tygodni.

Chyba boi się śmierci? Lekarz dr E. chwalił ją bardzo jako opanowaną, spokojną, dobrą pacjentkę. Nie histeryzuje. Ale życie z wyrokiem śmierci (w sobie) nie jest łatwe. Tym bardziej, kiedy czas oczekiwania jest wypełniony cierpieniami i bezczynnością. Widzę, jak ta choroba zjada matkę.

Dotykam jej kostek powleczonych skórą. A ja... chciałbym wyjechać. Nie jest jednak to ważne, co chciałbym - ale to, że siedzę tu, w mieście.

Nie potrafię zorganizować sobie życia, wypoczynku, nawet pracy. Żyję nie jak zakonnik - ale jak więzień pozbawiony regulaminu. Nic złożyć.

Pisuję teraz dosyć słabe rzeczy. Chciałbym ten tom skończyć. Będę miał przerwę - zwolnienie od pisania wierszy - na kilka lat. Przecież mi muza łaskawie zezwoli na nie-pisanie.

Gdybym dobrze pracował, to w tym roku mógłbym zrobić:

l/ tom wierszy; 2/ tom opowiadań; 3/ sztukę; 4/ książkę wspomnień o Staffie.

20 czerwca 1957 r.

Boże Ciało.

Siedzę w domu. Kamil jest na koloniach w Wiśle.

Wiesława od niedzieli u koleżanki, pojechała do B. Przygotowuje się do końcowego rocznego egzaminu w szkole. Janek je bardzo mało i waży tyle co wróbel.

Wczoraj i dzisiaj była Zosia R. Odwiedziła matkę w szpitalu. Ja nie poszedłem.

Nie chcę się zgodzić z jej chorobą. Nie chcę się zgodzić i wiem, że jestem śmieszny - nie chcę się zgodzić z jej śmiercią. Jestem jak nierozumne zwierzę, które karmi swoje małe martwe. Wpycha mu jedzenie do ust.

Doktor mówił przecież, że może żyć jeszcze kilka miesięcy, że może jechać na wieś.

W dzisiejszej "Trybunie Ludu" notatka: "Tokio. Pracownicy tokijskiego Uniwersytetu Gumma oznajmili w poniedziałek, że w organizmach Japończyków wykryli po raz pierwszy obecność cezu-173, izotopu radioaktywnego powodującego szkodliwe zmiany dziedziczne. Cez-173, podobnie jak stront--90, rozprasza się w atmosferze w wyniku eksplozji jądrowych".

21 czerwca 1957 r., piątek

Wstałem o ósmej rano. Wczoraj poszedłem późno spać. Ciężka noc. Rano pojechałem do Katowic - po lekarstwo. Mimo że było, nie chcieli sprzedać. "Potrzebna recepta" - (nie była, oczywiście, potrzebna).

Wsiadłem w pociąg i wróciłem do Gliwic. Zeszło pół dnia. Potem ugotowałem obiad i poszedłem do szpitala. Ze szpitala do Ermicha - po receptę. Po powrocie od doktora - obiad.

Przeczytałem gazetę. Jest już godzina siedemnasta. Jestem zmęczony i do pracy nie nadaję się. Najlepsze godziny mi nęły.

Nie mam chęci do tworzenia fikcji.

Przysłano mi z Warszawy (ze Związku) tłumaczenie na serbski opowiadania Gałąź (które było w latach 1948-1955 odrzucone w dziesięciu naszych czasopismach - zanim go nie

wydrukowała "Kronika"). Spojrzałem na kawałek gazety -jakby chodziło o kogoś obcego - gorzej - obcego i dawno już zapomnianego - a przecież to moje... Tak patrzę na drukowane teraz wiersze. Ani ziarna radości. W "Tygodniku Powszechnym" rozważania o Bogu. Czy jest, czy go nie ma... Pisze jakaś 32-letnia kobieta: list o swoim życiu - konspiracji, okupacji, mężu. Jej mąż mówi, że "Go nie ma, tzn. Boga". Ona nie wie itd.

Mam takie chwile, że na ulice wychodziłbym tylko o zmroku, wieczorem. Kiedy nie widzi się ludzkich twarzy - a właściwie: wyrazu oczu. (Ciekawe, że do tych rozważań nigdy się nie włącza ładnych twarzyczek dziewcząt i młodych kobiet - czyżby niechęć tylko do "ludzi"...)

Przy tym można, oczywiście, kochać biedną ludzkość... Zresztą to wszystko niejasne. Czemu się nie lubi żywiołowo twarzy jakiegoś (nawet niezupełnie głupiego) "literata", a z przyjemnością patrzy się na zadek młodej i zupełnie głupiej "gęsi"?...

22 VI1957 r., sobota

Jest godzina 12.30. Wróciłem do Katowic - gdzie byłem w aptece po lekarstwo. Wstałem o godzinie szóstej rano, żeby zdążyć na pociąg na 7.30 - pociąg był spóźniony. Aptekę otwarto nie o 9.00 - (jak mi powiedziała przez telefon pracownica tej apteki), lecz o 11.00. Był wielki tłok. O czternastej zaniosłem matce obiad i zastrzyki. O siedemnastej poszedłem po naczynia i zaniosłem buteleczkę czerwonego wina, pastylki "vichy". Moje chore, biedne dziecko. Prosiła, żeby jutro chociaż po południu wpaść na chwilę: "żeby mogła popatrzeć". Gładziła mnie po ręce - "Mój syn kochany" - wstydziłem się innych chorych kobiet, leżących na sali. Mówiłem: "nie mów tak głośno". Biedne, najbiedniejsze moje dziecko.

Przed chwilą był u mnie Janek - z mokrą główką - złapał go deszcz na spacerze. Prosił, żeby mu opowiedzieć bajkę. Opowiedziałem mu o starym Macieju, który oglądał słonia w ZOO. Potem Janek poprosił o małego ołowianego słonika z biurka i z tym słonikiem wyszedł, bo pokazałem na zeszyt i powiedziałem, że "będę teraz pisał książkę".

W Katowicach w tej aptece tłum nie tylko potrzebujących, ale i spekulantów.

Pracownica apteki nie chciała ze mną rozmawiać... prosiłem: "proszę pani, proszę tylko posłuchać, niech pani tylko chwileczkę posłucha, o co chodzi". Wreszcie wyprosiłem to lekarstwo, zastrzyki. Siedzę przy "warsztacie" i płaczę. Najgorsze są wieczory i noce.

Widzę, jak się ona męczy i powinienem jej życzyć śmierci. A tak pragnę, by jeszcze żyła, żebym mógł wyżebrać chociaż pół roku jeszcze; żebym mógł na nią czasem popatrzeć. Czy to jest egoizm - nie, przecież można tak kochać... niech się męczy strasznie, ale niech oddycha, niech ma otwarte oczy, niech patrzy, niech mówi -jeszcze trochę ciepła w tym biednym, pokrajanym, zmaltretowanym ludzkim ciele.

24 czerwca, poniedziałek, 1957 r.

Wczoraj w szpitalu. Matka na krzesełku, na korytarzu szpitalnym. Siedzi przy oknie; na parapecie stoją dwie żółte świece w butelkach i bukiet kwiatów w słoiku. Kiedy na ulicy zjawi się procesja (zdaje się że to oktawa Bożego Ciała) matka ma zapalić obie świeczki. Przy szeregu okien siedzą inne chore. Obok matki ta 80-letnia staruszka, która je i śpi: zdrowa, ale osłabiona. To "zadanie" matce powierzyła "siostra zakonna". Matka martwiła się, że nie było przepisu, jak zrobić te "zagraniczne zastrzyki" - lekarz dyżurny nie wiedział. Matka mówiła, że całą noc nie spała ze zdenerwowania... "tyle pieniędzy". Chciała sobie sama założyć szklaną rurkę, żeby odchodziły gazy. Jest bardzo rozdęta. Krępowała się

prosić pielęgniarkę, pokaleczyła się. Gładzę ją lekko po plecach, czuję ostre drobne kosteczki, ja, zdrowy człowiek - z powodu "zmęczenia" chciałbym wyjechać, wypocząć. Doprawdy, nawet człowiek kochający potrafi być nikczemny - nie, bo przecież nie wyjadę i jej nie zostawię - więc tylko te myśli są nikczemne - ale przecież to jest ważne, jak postępujemy. Cóż z tego, że myślałbym z wielką czułością o chorej, leżąc na plaży nad morzem. Mogą mi różne myśli przychodzić do głowy, ale jeśli będę przy niej, jeśli będę jej służył - tylko to jest ważne.

Przeczytałem w "Trybunie Ludu" opowiadanie Kruczkow-skiego Szkice z pieklą uczciwych. Czytam Upadek Camusa. Przez ostatnie trzy dni przeglądałem maszynopis "wierszy zebranych" - które mają się ukazać w roku przyszłym. Jest teraz południe. Spocony, zły, bez jednej myśli w głowie siedzę przy biurku. Odbywam swoją "służbę nieustającą". Wysłałem list z życzeniami do Ojca i 150 zł na prezent imieninowy.

Dziś nie byłem u matki w szpitalu. Z obiadem poszła Wiesława. Wieczory są najgorsze. Nie mogę pracować. Skończyłem przeglądanie maszynopisu "wierszy zebranych". Z niechęcią myślę o drukowaniu wierszy - czyżbym się już "przyzwyczaił" do pisania? Boję się tego.

Życzę Ci Mamo dobrej nocy Żebyś chociaż mogła spać. Tyle nocy bezsennych.

Sama w ciemności. Wczoraj powiedziałaś: "Tak trudno się rozstać z twarzami, człowiek chciałby patrzeć i patrzeć".

Życie moje się zatrzymało.

25 czerwca, wtorek, 1957 r.

Byłem u matki w szpitalu, zaniosłem jej trochę jedzenia. Teraz jest godzina 18.00. Wróciłem przed chwilą z pola. Ze spaceru. Matka mówi: "To jadą" (myśli o Kamilu i Janku, że jadą na wieś) i ma łzy w oczach. Leży. Brzuch wzdęty od wody. Żółte ręce, kości pokryte skórą- Boli ją głowa, owinęła ręcznikiem. Pali w przełyku. Pali wątroba. Z czym ja chcę walczyć - ze złośliwym nowotworem?

A z pisaniem... Co mogę zrobić?

Pisarz ze mnie kiepski - obserwator żaden... nie korzystam z nielicznych wycieczek w "życie". Mówiąc "pisarz" myślę o pisaniu prozy - z poezją to już zupełnie inna historia. Nie potrafię wydusić z siebie kilku zdań, a myślę o pisaniu książek. Główna rzecz to zorganizowanie czasu. Z tym najgorzej. Pracuję właściwie od rana do nocy - całymi latami nie wyjeżdżam na "wakacje" - powinienem mieć trzy razy więcej rzeczy napisanych. Właściwie nawet z chłopcami się nie pobawię, chociaż tęsknię za tym. ‚Jak mnie boli, to tylko się zwinę i odwrócę do ściany, i tak leżę cichutko..." Tu nie chodzi tylko o miseczkę zjedzeniem. Trzeba ją powoli wyciągnąć spod tej ścia-rr;, odebrać złe myśli. Ach, jaki człowiek jest bezradny. Nie mogę się zgodzić, nie chcę jej oddać.

Zrobili więc te dwa zastrzyki, zrobili nie według przepisu, "może kilka strzykawek tej \vody wyciągnąć...". Czemu ja grzeszny myślę o wyjeździe do Krakowa.

Nie pojedziesz teraz nigdzie.

28 VI1957, piątek

Wróciłem wczoraj w nocy z Krakowa. Oddałem tam w Wydawnictwie Literackim maszynopis "wierszy zebranych". Siedzę teraz przy biurku, dochodzi 7.00 wieczór. W głowie mam pustkę, ciężko mi oddychać. Chciałbym spędzić choć dziesięć dni w lesie, na

wsi... I nie wiem, czy potrafię to sobie zorganizować. Wszystko mi się rozpada, nawet najskromniejsze plany. Nie mogę sobie zorganizować tych dwóch tygodni.

Byłem u matki w szpitalu; wygląda trochę lepiej. Nie potrafię zorganizować sobie pracy. Jestem zmęczony i ociężały - w październiku skończę 36 lat. Nie mogę pracować; to coś strasznego. Nie mogę myśleć. Czy się przebudzę? Żyję we śnie. Co więc robię; czym jestem?

Czuję się zniszczony. Osypuje się bez przerwy. Coś osypuje się, spada. Nie mogę się wyzwolić; jestem zamknięty, zostałem zamknięty, zamknięto mnie, zamknąłem się. Życie moje składa się z nielicznych przebudzeń i ciągłej mordęgi - jakby zostało już przed dwudziestu laty okaleczone, przełamane. Jestem zrównoważonym szaleńcem, dumnym robaczkiem, spokojnym awanturnikiem - tak strasznie kocham las i wieś -a siedzę na Śląsku, siedzę całe czerwce i lipce, i sierpnie zamknięty w tym pokoju nad kilkoma pokreślonymi kartkami papieru.

W czasie ostatniej rozmowy powiedział do mnie Staff: "Nie trzeba się ścieśniać... to nawet wpływa na pisanie, to wywiera ujemny wpływ". Zrozumiałem Go - to sprawdza się na mnie.

30 VI1957 r., niedziela

Upały dochodzą do 40 C. Próbowałem pracować.

Słaby, ociężały.

Matkę mam jutro odebrać ze szpitala.

Henryk V - czytałem jego książkę Ocalony z otchłani. Ten człowiek żyje, pracuje, kocha, ma żonę, dziecko. W obozie był przez jakiś czas w "Leichenkommando", grzebał trupy i żywych, którzy jeszcze nie skonali, a już ich wrzucano do dołu.

Henryk to człowiek dobry. Biegam z gazetą po mojej "pracowni" i zabijam czarne wielkie muchy "robacznice". Przeklinam robotę, ociekam potem i nic nie mogę.

Ze starej gazety notatka: "Co to jest cnota? Krytyk francuski, Emil Herriot, wygłosił niedawno w Akademii Francuskiej mowę na temat pojęcia «cnoty». Przytoczył przytem definicję Stendhala: «Cnotą jest umiejętność dokonywania czynów szkodliwych dla siebie, a niezbędnych dla szczęścia in-nych»".

Przez wszystkie lata pracy w Polsce jestem pozbawiony możliwości wypowiadania się: wynika to z tej przyczyny, że nie jestem, nie byłem nigdy związany z żadnym pismem. Dorywczo drukuję utwory i to jest wszystko; tymczasem potrzebny byłby mi jakiś bodaj niewielki kąt, w którym mógłbym się swobodnie wypowiedzieć. Redaktorzy byli do mnie zawsze jakoś dziwacznie ustosunkowani. Miałem i mam ciągle wiele ciekawych tematów, spraw, które chciałbym poruszać: ale gdzie? Nawet do prowincjonalnych tygodników nie mam dostępu.

Zawsze byłem uzależniony od "widzimisię" tzw. "redaktorów działów poezji" i innych redaktorów; drukowałem dużo, ale jak to się odbywało?

Tymczasem po okresie, w którym obchodzono się ze mną jak ze śmieciem (w latach 1950-1953) - celowali w tym moi "rówieśnicy" - każda miernota pouczała mnie i ciągnęła za uszy - ja zakneblowany nie miałem nawet możliwości drukowania sprostowań. Jeden z tych cynicznych jest obecnie redaktorem naczelnym "Nowej Kultury". Ja znów jestem wyrzucony poza; mogę oczywiście posłać do czasopism utwory, ale to jest wszystko.

Nie mam żadnych możliwości. Jestem spętany tak jak zawsze. Środowisko literackich sutenerów jest ciągle czynne... Występują teraz w roli "rewolucjonistów" - moralistów - reformistów. Takie męty moralne jak Ważyk uważane są za prekursorów "polskiego października". Może znajdę kiedyś czas i siły, żeby o tych szulerach literackich napisać całą prawdę. Gang bez oficjalnej organizacji, popierają się i reklamują... Widać, jednakowo wonieją.

Ohydna gnojówka, która mi przez tyle lat zalewała usta, oczy, nos - ta gnojówka teraz znów rozlewa się po redakcjach, związkach, wydawnictwach, radiach. "Odnowa".

Jak żyłem w tym śmietniku - wiem tylko ja jeden. Obchodzono się ze mną jak ze sztubakiem, który posyła do redakcji wierszyki - nigdy, nigdy-z nimi porozumienia, jak dobrze, że nie muszę ich oglądać, z nimi rozmawiać, "dyskutować". Ile szkody mi wyrządzili? Literaci, "moraliści", pederaści, pryszczaci...

2 VII 195 7 r.

Jest wieczór. Obok w pokoju żali się matka. Trzymała mnie za rękę i mówiła. Przywiozłem ją wczoraj ze szpitala. Kogo ja mam prosić o łaskę, aby tak nie cierpiała. W południe było 36 C. Odwiozłem Janka, Kamila i Wiesławę do Katowic -wsadziłem ich do pociągu. Pojechali na wieś.

Jak ona biedna cierpiała przez wszystkie lata od śmierci Janusza - (do dziś - do tego dnia) nie mogę myśleć o tym, co gestapo z nim zrobiło.

3 VII 1957 r., środa

Dziś rano matka traciła przytomność, nie poznawała mnie - mówiła: "Wszyscy gdzieś odeszli: Janusz, Stasiu, Ojciec". Dusiła ją wzbierająca woda.

Przed wyjściem rano zrobiłem jej masaż nóg i plecy natarłem olejkiem kamforowym. Powiedziała w pewnej chwili "głupie życie". Po południu sprowadziłem lekarza.

Matka zjadła trochę... lodów, o które prosiła jak dziecko. Na obiad trochę kartofli z cielęciną. Prosiła, żeby poduszki przełożyć, chce leżeć przy oknie, widzieć - "zielony ogródek... ptaszek śpiewa". Prosiła mnie, żebym coś zjadł. "Czy naprawdę zjadłeś?"

"Nie chcę tu leżeć między Niemcami; chcę w... albo w Częstochowie... w Częstochowie".

Byłem w polu. Przyniosłem trochę rumianków.

Nie mam żadnych pragnień prócz spaceru po lesie i nie mogę tego sobie urządzić. Nie potrafię. Po trzech dniach... Mówi się o bohaterskich ludziach, którzy zamykali się w "pustelniach", wyrzekali się "życia", byle pracować i myśleć - ale ja, ja jestem takim żebrakiem, że od lat marzę o celi, w której mógłbym przez pół roku spokojnie pisać. Nie, to widocznie zbyt wielkie szczęście - zbyt wiele wymagam, prawda? Najgorsze to dla mnie, że muszę ją zostawić samą z jej cierpieniem -bo przecież i moja obecność ją męczy.

Czytam Flauberta Listy.

4 VII 1957 r., czwartek

Rano przyszła teściowa i mówi: "Kup tu w spółdzielni dwie świece". „Jakie świece, po co?" Nie wiedziałem, o co chodzi -ale zaraz wszystko staje się jasne. - Kiedy teściowa zaczęła mówić: , Jest już stół nakryty, woda, krzyż, matka umyta", właśnie ma przyjść ksiądz i potrzebne dwie świece do dwóch małych lichtarzyków. Ja poszedłem do matki, a matka

mówi: Jestem dorosła, wiem, że muszę umrzeć", po chwili trzymając mnie za rękę... "tak mi się chce żyć, jeszcze trochę", potem tłumaczyła, gdzie jest ulica Bankowa, bo "chce zjeść trochę poziomek - tam przychodzą baby ze wsi". Teraz ma przyjść ksiądz, wyspowiadać. Sprowadziłem wieczorem lekarza. Matka cierpiała bardzo. Na noc daliśmy środki nasenne.

Upały straszne - chyba ponad 40 C w słońcu. Pełno much.

5 VII J957 r., piątek

Wczoraj poprosiłem zakonnicę, siostrę Beatrycze, żeby przyszła dziś rano zrobić zastrzyk. Chodzi o "spuszczenie wody" - to matkę dusi. Nacierałem matce boki olejkiem i spirytusem, boli ją -jakby się zaziębiła.W nocy się załatwiła. Chciała sama, upadła. Kiedy przybiegłem - przepraszała, płakała, "nie ma kału, to tylko mocz się rozlał". Jest teraz piąta rano - zaczyna się znów upał - słońce już przygrzewa. Nie ma czym oddychać. Od dwóch tygodni takie upały. Zakonnica była o godzinie szóstej. Przez 15 minut nie mogła trafić w żyłę, zwiotczałe uciekają. Od dwóch dni jest Stasiu i Ojciec. Słyszę w tej chwili dzwonek w korytarzu. Do Matki przyszedł ksiądz z komunią. Matka po przyjęciu ostatniego namaszczenia powiedziała: "Tak mi jest dobrze, Tadziu". Matka przyjęła komunię, modli się. Koło południa upał staje się nie do wytrzymania. Już rano w cieniu było przeszło 30 C. Siedzę u siebie w pokoju i pocę się. Na dworze robi się piekło, nie ma czym oddychać, chyba jest 50 C, a ta biedna (ten biedny Hiob) matka umiera. Czy mam jej życzyć śmierci? Niech choć patrzy, niech coś powie, półprzytomna niech wykona ruch ręką. Przeklęty czas, najgorętszy lipiec, jaki pamiętam w życiu. Właśnie teraz ani chmurki na niebie i to okrutne słońce, od którego mi się robi ciemno w oczach. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby żyła jeszcze bez cierpień przez kilka tygodni, ale nie śmiem marzyć o takim szczęściu.

7 lipca 1957 r., niedziela

Matka żyje. Może tylko przełykać płyny. Wczoraj i dzisiaj założyłem jej czopki z morfiną. Była Mirka, Zosia R. Matka trochę mówiła. O lasach. Matka wychowała się wśród lasów, spędziła w lasach dzieciństwo.

Matka poruszyła ręką, kiedy się do niej zbliżyłem, zaczęła mówić - szeptem, spalonym głosem: , Jak byłam młodą dziewczyną, to w lesie wyszukałam pod dwoma drzewami malutkie źródło, była w nim czysta i zimna woda, nabierałam dłonią albo się kładłam na brzuchu i tak..." matka wysunęła język i robiła nim kilka ruchów - jak kot, który pije mleko z miseczki. Przestała mówić, po chwili znów powiedziała zdanie: "Lasy to piękne, nie tak jak ludzie. Kiedy jaskółki szykują się do odlotu do ciepłych krajów, robią taką wielką kulę, okrągłą, czarną i ta kula unosi się w powietrzu..." Znów pomilczała, potem szeptała dalej: "Raz siedziałam w lesie, z drzew wyszła stara sarna i patrzyła tak... potem wróciła i przeprowadziła dzieci, dwie małe sarenki, przez polanę". "A kiedyś widziałam taką białą chmurę na łąkach, to były bociany". "Przyroda jest taka piękna, a oni rzucają bombę." "Od jutra muszę jeść sucharka rano, bo tu się wszystko ścisło i nic z głodu nie przechodzi. Umrę z głodu."

Posadziłem matkę na fotelu. Posiedziała i w pewnej chwili mówi: "pójdziemy...". Nie zorientowałem się, myślałem, że mówi, że kiedyś pójdziemy gdzieś daleko - a ona mówiła o tym, że "pójdziemy" z fotela na łóżko - dwa kroki. Po zrobieniu tych dwóch kroków położyła się bokiem na łóżku zmęczona i zdyszana. Obiecałem, że jak będzie mocniejsza, to ją jutro zaprowadzę na balkon, żeby zobaczyła trawnik na dole.

Wczoraj spadł deszcz, a dziś znów upał przeszło trzydzieści stopni. Jestem zmęczony, senny.

9 VII 1957 r., wtorek

Wczoraj przyjechała ciotka F. i żona Stasia. Mama żyje, jest słabsza. Zjadła jednego sucharka. Robiłem mamie wczoraj lewatywę. Termometry w słońcu wskazywały pięćdziesiąt stopni. W nocy burza. W nocy wstaję, wysadzam matkę, podaję wodę, poprawiam poduszki. Słyszę każdy szmer. Budzę się natychmiast. Mirka i Ciotka - pytały w którym kościele brałem ślub z Wiesławą.

Mirka zostawiła matce krzyżyk z Rzymu, z którym są związane jak'es odpusty. Ciotka mówiła, żeby zamówić mszę na Jasnej Górze - opowiedziała mi przy tym cud, którego była świadkiem. Jakiś kulawy wstał i zaczął chodzić - dokładnie nie pamiętam, bo nie słuchałem. Ciotka mówiła, żeby napisać po księdza Mariana.

Ojciec wyjechał. Jestem zmęczony.

Dziś jest chłodniej. Trochę łaski. Najgorsze są noce.

Jest w tamtym pokoju, oddycha, jęczy, ale żyje! Żyje.

10 VII 1957 r., środa

W nocy wstawałem tylko kilka razy. Matka miała noc dość dobrą. Rano szukałem wody sodowej, lubi ją pić. Miała atak żółciowy. Nie może się poruszać o własnych siłach. Stasiu jest w Gliwicach. Zosia przyjechała w nocy o 21.30; przywiozła z Wielunia żywego kurczaka dla mamy. O godz. 22.00 musiała jechać. Połączenia złe, pojedzie całą noc.

Kupiłem Tajfun Conrada i Kuncewiczowej Leśnika. Jest w Matce wielka siła, która jej nie pozwala umrzeć.

Dzisiaj jest chłodniej.

Książkę wspomnień o Staffie przerwałem przed miesiącem.

Podobała mi się wypowiedź Geline'a w "Expressie". Szczera, ciekawa wypowiedź o technice powieści: "...W Podróży robię jeszcze pewne ustępstwa na rzecz «dobrej literatury». Można tam jeszcze znaleźć dobrze wysnutą frazę. Uważam, że z punktu widzenia techniki jest to przestarzała..."

Strasznie przyjemnie czytać to, co się myślało, robiąc wiersze, już w latach 1945-1947 (mam w Mepokoju takie utwory).

"Express: - Czego spodziewa się pan po swojej nowej książce?

Celinę: Spodziewam się zaliczki od Gallimarda, to wszystko, nic poza tym... Zadowolę się tym, pojadę do jakiejś dziury, na wieś, tam skończę. Nie będę więcej pisał... Gdyby mi dano resztę, nie pchałbym się do druku. Zrezygnowałbym z tego całego pichcenia..."

Piątek, 12 lipca 1957 r.

Jest godzina czwarta rano. Odszedłem od matki przed chwilą. Wysadziłem ją, poprawiłem poduszki, nie spała całą noc. Przenosiłem, jęczała. O czwartej obudziłem Stasia - przesadziliśmy matkę na fotel, przesłaliśmy łóżko. W nocy ciągle jęczała: "Po co ja żyję"... Odpowiedziałem zrozpaczony, zmęczony, rozdrażniony "nie wiem", miałem chwilę, że byłbym na nią krzyczał - jaki słaby jest człowiek? Zły? Dokoła zapalonej lampy lata mucha. Słychać dalekie pociągi lokomotywy. Przeklęta mucha nie da nawet tych kilku słów zapisać.

Piątek, 12 lipca 1957 r. "

Pomyliłem daty. Noc przy matce. "

Matka mówi coraz mniej, wymawia coraz mniej słów: jak by traciła słowa. Mówi czasem bardzo niewyraźnie, prawie bełkocze, szczególnie po przebudzeniu. Najczęściej powtarza jące się słowa: "powietrza, wody, pali, boli". Porozumiewa się przy pomocy spojrzeń i znaków. Wczoraj był lekarz. W nocy matka nie spala. Budzi się co chwila. Bełkot niemowlęcia to bełkot, z którego ukształtują się słowa życia - bełkot u odchodzącego to zaniknie, rozkład, rozpad słów prowadzący do mil czenia ostatecznego. Jest chorym małym dzieckiem.

13 lipca 1957 r., sobota

Matka jak ptaszek - wypija trochę wody, zje kilka okruszyn sucharka i tak cały dzień, ale nie ma siły podnieść głowy, ruszyć nogą. Trzeba ją wysadzać; to dla niej bolesne. Dziś szła z niej od rana żółć. Prosi, żeby ją ostrożnie podnieść do góry.

Byłem dzisiaj godzinę w polu. Już idą żniwa. Nie widziałem, kiedy przyszło lato.

Wczoraj otrzymałem kartkę od P. Fundusz na pismo "Rzecz" mają otrzymać. Słucham o tym i czytam jak o zeszłorocznym śniegu. Dziś list od F. i kartka z wyprawy kajakowej od Kornela. Szczęśliwy człowiek! A przecież w jakiś tylko jemu wiadomy sposób nieszczęśliwy. Zamknięty.

Teraz jest wieczór. Dochodzi dziewiąta. Przez okno słychać kroki, jakieś nikłe głosy ptaków, śmiech. Mama nic nie mówi. Nie słucha, kiedy jej czytam. Budzi się, jakby wracała do nieznanych rzeczy, ale jest ciągle przytomna, porządna, czysta. Dzielna jest moja staruszka.

Wysłaliśmy na wieś paczkę. Ja wczoraj Wiesławie posłałem gazety. Jest chłodniej - choć tyle łaski. Staś wspomina, że chciałby na dwa dni wyjechać do Łodzi.

Brzoza za oknem jest zielona. Lato 1957 roku.

Opowiadanie Morze zacząłem w 1954 roku - potem trzy lata przerwy. Przed wyjazdem do Paryża próbowałem dalej. Teraz nie próbuję. Schowałem do szuflady. Jest już ciemno u mnie w pokoju.

14 lipca 1957 r., niedziela

Jest teraz piąta po południu. Pada deszcz. Przed chwilą skończył się atak - żółć szła z matki prawie godzinę. "Kamienie duszą mnie" - pokazuje na piersi, że tu leżą kamienie. "Tadziu - synku, ratuj, duszę się". Podaję jej słoik, do którego z ust płynie cuchnąca żółta ciecz, przekładamy ze Stasiem sto razy poduszki. Nogi ma ciężkie, stopy opuchłe; bezwładna prosi, żeby ją posadzić wyżej: "wyżej, duszę się". Dziś zjadła tylko dwie łyżki rosołu. Czaszkę otacza niebieskawo-żółta skóra, prawie przeźroczysta. Boi się wysadzania. Jest tak słaba, że nie może się podeprzeć łokciami. W nogach stawiamy walizkę - aby miała się o co oprzeć. Teraz pada deszcz. Siedzę u siebie w pokoju.

Chciałem przeczytać matce kilka wierszy, ale zasypia; jest osłabiona. Zresztą te wiersze brzmiały tak obco - daleko.

Przestałem. "Wody, powietrza, duszę się, wyżej..." to prawie już wszystkie słowa.

Przejście na fotel jest już podróżą. Podniesienie się wyżej na poduszki jest przygodą; długie przygotowanie jak do podróży. Pada deszcz. Ludzie idą do kina „Jutrzenka". Moje miasto? Miasto w którym mieszkam od roku 1950. Co mnie z nim łączy? Nic. Pada deszcz.

Główne dwie myśli, które zajmują mnie od wielu tygodni: iść do fryzjera, iść do szewca... a potem jest pustka, ciemność, strach. Przed czym? Oczekiwanie. Na co?

Gdzie jest cała ta sfera ducha? "Jest zmęczenie ciała, jało-wość, łzy." Gdzie się ukrywa teraz "dusza"? Kiedy się pojawia, kiedy znika? Jaką czynnością jest pisanie wierszy? Co to jest?

Przypuszczam, że nikt naprawdę nie wie.

Najgorszy wiersz może być dobrym wierszem - dla kogoś,

kiedyś, gdzieś... Czemu więc poprawia się dziesięć razy tekst... Co, kto się tego domaga? Jaka siła działa w piszącym poecie?

Ten atak żółciowy jeszcze trwa.

Zdaje się, że już wszystko ze siebie wyrzuciła. Te biedne kosteczki. Stasiu powiedział: "Chciałbym, żeby matka umarła". Nie mogę się zdobyć, żeby za nim powtórzyć to życzenie - najlepsze, jakie może być dla Niej.

Niejasny wiersz - niejasny poemat.

Sekwany nie ma. Jest tylko... Nie ma wieży Eiffla. Nie ma Paryża. Są usta.

16 lipca 1957 r., wtorek

Godz. l .00 w nocy - Matka umiera. "Weź mnie." Jest godzina 10.00 rano, matka jeszcze nie umarła. Zerwała się ulewa. Ani Ojciec, ani Staś jeszcze nie przyjechali. "Weź mnie, weź mnie, mamo" - wyciągnęła ręce, nie do mnie.

Matka umarła o godz. 10.20 rano. Carcinoma ventriculi.

17 lipca 1957 r.

Kupiliśmy ze Stasiem trumnę, tanią, sosnową, prostą trumnę. Matka leży w sypialni w tej trumnie, przykryta prześcieradłem. Pada deszcz od rana. Jutro pogrzeb.

19 lipca 1957 r.

Wczoraj o godzinie szesnastej pochowaliśmy Matkę. Wczoraj rozjechali się ludzie, którzy byli na pogrzebie. Jutro ma wyjechać Ojciec i Staś. Zostanę sam.

Oddałem ziemi moje kochanie. Moje dobre cierpiące dziecko - moją duszę.

20 VII 1957 r., sobota

Dziś wyjechał Staś i Ojciec. Siedzę sam w pokoju, w mojej "pracowni". Jest cicho. Rozmawiam i zawsze będę rozmawiał z Tobą Mamo.

Będę z Tobą rozmawiał tak, jakbyś była przy mnie.

Dziś o godz. 6.30 była msza żałobna. Klęczałem i nie modliłem się na mszy, powtarzałem za księdzem... zdrowaś Maryja, łaskiś pełna, przecież już prawie od dwudziestu lat nie modlę się. To Tobie ksiądz ubrany w czarny ornat śpiewał "spoczywaj w pokoju". Twój grób jest na małym cmentarzu: dokoła pola, a przy grobie wielkie kasztany. Na krzyżu jest tabliczka z Twoim imieniem i nazwiskiem - i słowa "prosi o westchnienie do Boga" - to ja i Staś podyktowaliśmy te słowa przedsiębiorcy pogrzebowemu.

Mamo, kochanie moje, jesteś przy mnie. Będę z Tobą mówił, będę pracował, myśląc o Tobie. O Twoim nikłym dobrym uśmiechu na żółtej, strasznie wychudzonej twarzy - kiedy

straciłaś przytomność. Moja Dobra, Kochana Staruszko, oddychać mi trudno. Ale piszę te słowa jak list do Ciebie. Byłaś moją trwogą, strachem, radością i oddechem. Miła, całuję Twoje rączki wyschłe i opuchnięte nogi, Twoje oczy - Twoje sine ręce, kiedy konałaś. Całuję Twoje zbolałe ciało, które oddałem naszej matce wielkiej - ziemi.

21 lipca 1957 r., niedziela

Pierwsza niedziela bez Matki. Próbowałem coś robić. Ale nie mogę. Pada deszcz. Jest przedpołudnie ciemne, puste. Moje przemysłowe miasto. Mogę iść na dworzec obejrzeć rozkład jazdy, mogę przejść się koło "delikatesów", koło trzech, czterech kościołów, mogę popatrzyć na pijaków i motocyklistów, na...

"ty z niemi polecisz do ciepłych krajów, gdzie śniegu, zimna i głodu nie doznacie, a nas tu zostawicie zawsze czekających co roku... za wami... jako za zwiastunami wiosny tęskniących, i my także czekać będziemy, dopóki każdego z nas śmierć nie zaskoczy, a tymczasem nuć nam te smutne dumki luby słowiku..."

(Wolica, 4 maja 1857

K. Wodzicki "Zapiski ornitologiczne")

Minęła zima, minęła wiosna, mija lato 1957 roku. Kiedy wezmę się do "pracy"? Mamo, Kochanie moje. Przegrałem, bo musiałem przegrać, jestem nieszczęśliwy i śmieszny.

22 lipca J 957 r.

Kochana Mamo, dziś jest poniedziałek. Siedzę w domu. Byłem rano w ogródku. Jest pochmurny dzień. Nie pracuję. Trochę czytam. Jestem zmęczony. Może gdzieś wyjadę. Ale na razie nie wiem, gdzie - lato się kończy. Ja wiem, że powinienem brać się do roboty, że czas leci. Ucieka.

Ale jeszcze chwilę. Jeszcze trochę z Tobą porozmawiam. Moja Dobra, Kochana Staruszko. Całuję Twoje ręce i oczy.

Rozmawiam z Tobą.

"Kartka wydarta z dziennika"

27 VI, niedziela, 1982 r.

[...]

Była 7. Deszcz padał. Zajrzałem do kalendarzyka. Dziś Władysława. Imieniny Ojca. W dniu imienin Ojca składaliśmy Ojcu "laurkę", na której wymalowane były kwiatki, okolicznościowy wierszyk, czasem mówiliśmy ten wierszyk. Mama ubierała nas w tym dniu starannie. Pamiętam, że ogromnie się wstydziłem, kiedy przychodziła na mnie kolej mówienia wierszyka. Byłem strasznie wstydliwym dzieckiem. Kiedy o mnie -przy mnie - mówiono, chciałem się zapaść pod ziemię. Byliśmy kiedyś na wakacjach... mogłem mieć trzy lata, w każdym razie było to na długo przed pójściem do szkoły i przed pierwszą komunią. Byliśmy na probostwie u księdza Michnikowskie-go, gdzie Mama przez jakiś czas wychowywała się jako mała dziewczynka, byliśmy na obiedzie. Pamiętam długi stół w jadalni, było tam dużo osób. Ja byłem przy stole - ze starszym braciszkiem Januszem. Stasia nie było jeszcze na świecie. Pamiętam, że strasznie się wstydziłem. Na ucho poprosiłem Mamę, żebym mógł siedzieć tyłem, żeby mnie nie było widać... Pani Emilia, gospodyni księdza, bardzo się śmiała, wreszcie posadzono mnie na krześle tyłem do twarzy siedzących

za stołem, a talerz zupy postawiono mi na drugim krześle. Pamiętam, że jadłem zupę z wielką męką. Pani Emilia nosiła kok. W swoim pokoju miała koty, miseczki i spodeczki z mlekiem. Oglądałem z Bratem na podłodze duże ilustrowane gazety. Były tam czarne rysunki i fotografie na gładkim, błyszczącym papierze. Był to "Tygodnik Ilustrowany"...

"...po dwudziestu latach"

Mamo poznajesz mnie... uśmiech na malutkiej wyniszczonej twarzy skóra przeźroczysta włosy na głowie siwe - tak przecież to ty synku

to ja Mamo proszę Cię jedz czerwony barszczyk może przełkniesz jeszcze kilka łyżeczek -

usta zamknięte a czerwony pożywny barszczyk wycieka bokiem plami brodę wycieram buzię

zmalałą buzię chusteczką i znów łyżeczkę podnoszę do jej zamkniętych ust Mama siedzi na łóżku podparte poduszkami plecy... przez okno widać dzikie wino światło przez liście przeźroczyste Mama chce wyglądać przez okno za oknem czerwone mury magazynów piekarni wojskowego szpitala Teraz jestem na wsi minęło siedemnaście lat nie pamiętałem o rocznicy Twojej śmierci przyjechał mój znajomy reżyser przegadaliśmy kilka godzin dzień był upalny doszliśmy ścieżkami leśnymi nad płytkie jeziorka pot spływał mi po szyi po grzbiecie w taki upalny lipiec rzuciłem garść ziemi na twoją drewnianą trumnę pies biegnie przed nami dyszy chwyta gruby patyk szaleje pluska woda wygrzana woda zamulona szlamem i roślinnością wygrzana zarośnięta sitowiem niebieskie podłużne kreseczki lazurowe w powietrzu to szklarki nad lustrem wody zabliźniony dół zasypany byłem w tym roku na cmentarzu na Twoim grobie w ramie cementowej skruszona ziemia parę wysychających żółtawych kwiatków biedny nagrobek ze sztucznego kamienia wracałem z huty z wielkiego placu budowy powstawał na Śląsku koło Dąbrowy Górniczej trzydzieści tysięcy budowlanych pięć tysięcy załogi szofer który mnie woził z hotelu do kombinatu na budowę i do stołówki był młody i uczynny rozmawialiśmy o pracy i o życiu zauważyłem że "na świecie" jest coraz mniej motyli mój umysł budzi się z ociężałego snu deszcz pada na nas na powierzchni na ziemi zapach lasu i żyta a u ciebie pod ziemią pod ziemią? wchodzisz głębiej tu na ziemi słucham muzyki i mój mózg przez oczy i ręce przekazuje literom kształt mojej myśli od rana jestem miotany miotam się po powierzchni jak słomka daj mi łaskę wewnętrznego skupienia pozwól mi widzieć. Minęły lata Ty mnie trzymasz za ręce za nogi ty mnie ciągniesz do ziemi zaparłem się ciebie Kur pieje kiedy się budzę Klęczę przy łóżku ale się nie modlę zamknąłem oczy Minęło pięć, sześć, siedem miesięcy od czasu kiedy zacząłem pisać Prześwit napisałem te kilka zdań i nastąpiła przerwa czym wypełniona? Życiem. To znaczy... muzyka Ravela Sonatina w zieleni głosy ptaków przesilają muzykę płynąca z radia lipiec zbliża się 20. rocznica Twojej śmierci. Ten szelest to krople deszczu deszcz muzyka w tym szumie - i ja żyjący

idzie wieczór

"Grzech"

Jesteśmy jednym ciałem. Czy nie czujesz tego?

- Nic o sobie nie wiemy.

- Opowiedziałem ci już wszystko. W życiu nie dzieje się wiele nadzwyczajnych rzeczy. O wojnie nie będę opowiadał.

- Mów o sobie, tylko o sobie.

- O sobie? Dobrze, opowiem ci dziwne wydarzenie. Już nigdy nie przeżyłem w życiu takiego strachu. Takiej pokusy i takiej trwogi. Miałem wtedy osiem lat...

U nas w domu było mało pięknych rzeczy. Na stole w pokoju stała gilza armatnia.

- Gilza?

- Nie wiem, czy to fachowa nazwa... to była łuska od pocisku. Nazywaliśmy ją gilzą. Była z miedzi. Miała pod spodem okrągły kapiszon z wgłębieniem po uderzeniu iglicy. Była to gilza z wystrzelonego pocisku armatniego, jeszcze z pierwszej wojny światowej. Zawsze mi się myliła miedź z mosiądzem. Na grosze mówiło się miedziaki, choć pewnie były robione z mosiądzu. W gilzie stały zimą kwiatki z papieru, z bibułki. Dopiero chyba w dziesięć lat po wojnie mama kupiła większe, owalne lustro. Przez kilka lat było w domu małe kwadratowe lusterko. Wisiało w kuchni. Wtedy też kupiła duży, rozkładany stół. W tym pokoju nie było słońca. Zawsze był cień. Już nie pamiętam tamtych drzew, ale tam rosły drzewa przed domem. Wieczorem matka cerowała pończochy i skarpetki. Czasem siadał z gazetą ojciec. Na stole stała lampa naftowa. Przy stole było jasno, ale wszystkie kąty pokoju były mroczne. Na ścianach poruszały się cienie. Ogromne ręce, głowy.

Któregoś dnia zobaczyłem w pokoju wazon. Był podobny do wielkiego jajka. Gilzy nie zauważyłem, chyba o niej zapomniałem. Cały pokój był teraz wypełniony tym wazonem. Zbliżyłem się do stołu, przyglądałem się wazonowi. Był biały. Od góry wypełniony światłem i prawie przezroczysty. Ale odwłok miał gruby, lśniący. Wyciągnąłem rękę. Usłyszałem kroki matki i opuściłem rękę. Matka zapytała z uśmiechem: "Teraz ładniej, prawda? Tylko go nie ruszaj, nie dotykaj! To jest wazon z porcelany. Pewnie ojciec będzie się gniewał, że go kupiłam. Ale teraz jest w pokoju ładniej". "A co w nim będzie? Kwiaty?" "Nie - powiedziała matka - on nie jest do kwiatów". "A do czego?" "Do niczego. Jest piękny sam, ma taki piękny kształt, że sam jest ozdobą. Tylko bardzo cię proszę, nie dotykaj". "Dlaczego?" "Pięknych rzeczy nie trzeba dotykać" - powiedziała matka i wyszła.

Stałem jeszcze chwilę i przyglądałem się porcelanowemu wazonowi. Była to pierwsza piękna rzecz w naszym mieszkaniu, która nie służyła nikomu i niczemu. Były krzesła, garnki, talerze, łyżki, kubły, obrazy, łóżka, stoły, ale te wszystkie przedmioty miały swoje przeznaczenie. Nawet gilza była kiedyś pociskiem armatnim. A ten piękny wazon był nieużyteczny. Nigdy nie był czymś innym. A właściwie to nie był nawet wazonem. Bo nie można było do niego nalewać wody ani wkładać kwiatów. Był piękny sam w sobie. Bez kwiatów. Matka nigdy nie wspominała, że zamierza kupić taki wazon. O lustrze albo o nowym stole mówiło się całymi miesiącami. A wazon zjawił się nagle. Jak jajo podrzucone przez nieznanego, wielkiego ptaka.

Któregoś dnia zostałem w domu sam... Nie słuchasz, co ci opowiadam?

- Słucham.

...stałem przy stole i przyglądałem się wazonowi. Potem wyciągnąłem rękę. Powierzchnia wazonu była chłodna. A w pokoju było ciepło. Najlepiej pamiętam światło i wazon. Światło w pokoju było takie jak w koronie gęstego wielkiego drzewa. Wilgotne jak w studni, zielonkawe, ruchliwe. Jakby przez ściany przepływała woda. W środku tego światła stał wazon. Dotknąłem go palcami. Pogładziłem delikatnie po zimnej powierzchni. Położyłem dłoń, czułem wypukłość, okrągłość. Miałem w dłoni kształt piękna. Trzymałem tak rękę dłuższą chwilę i czułem, że powierzchnia wazonu ogrzewa się. Oderwałem rękę od wazonu

i poszedłem do kuchni, gdzie w pudełku pod stołem chowałem swoich żołnierzy. Ustawiłem żołnierzy w szeregi. Ale mnie to nie bawiło. Wrzuciłem wojsko do pudełka i wróciłem do pokoju. Przyłożyłem ucho do wazonu i zastukałem delikatnie. Nie byłem sam w pokoju, byłem z tym wazonem, który był obcy w naszym mieszkaniu. Ozdabiał pokój, ale niczemu nie służył. Wszystkie przedmioty, sprzęty, obrazy były połączone z nami i ze sobą niewidzialnymi nitkami. Jak żyłami, przez które przepływa krew. W dzień i w nocy. A wazon był sam. Odcięty od wszystkiego. Czy był naprawdę piękny? Był dla mnie tajemniczy, obcy. Nie z naszego mieszkania. Żywiłem dla niego uczucie podobne do uczucia dzikusa, który czci figurkę bożka. Cudowną figurkę, która spadła z nieba. Przede wszystkim był nietykalny. Ale stawał się piękny; widzę twarz matki, kiedy mówiła: "Prawda, jaki ten wazon jest piękny". A w rozmowie z ojcem tego samego dnia powiedziała: "Zdobi mieszkanie piękniej niż najpiękniejszy mebel". Co ojciec na to odpowiedział, nie pamiętam..,

Nadeszła zima. Ciepło szło od żelaznego piecyka, w którym od rana do nocy palono torfem. Kałuże wody pokryte były szybami lodu. Waliliśmy w te szyby kamieniami albo podkutym obcasem. Lód pękał i po jego powierzchni rozchodziły się jakby białe włosy. Chrzęścił chrupko pod naszymi kopytami. Pewnego dnia bolało mnie gardło i nie poszedłem do szkoły. Leżałem w łóżku i oglądałem "Muchę"... to było takie humorystyczne pismo... drukowane na różowym papierze. Nie na różowym, ale jakby wpadającym w odcień różowego. Niby przeglądałem "Muchę", ale widziałem "oczami duszy" wazon na stole. Wazon stał obcy, doskonały, nietykalny. Choć nikogo nie było w domu, szedłem na palcach, ostrożnie, powoli. Skradałem się w ciszy, w której wazon stał jak w wacie. Pociągnąłem za serwetę, wazon poruszył się. Wtedy pociągnąłem mocniej. Wazon zakołysał się i przewrócił. Na stole leżały gazety. Wazon potoczył się kilka centymetrów i zatrzymał się na krawędzi stołu. W środku miał niebieskawe światło. Wiedziałem, co będzie dalej. Bardzo się bałem. Nawet zacząłem się modlić: "Aniele boży, stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój, rano, wieczór, we dnie, w nocy, bądź mi zawsze ku pomocy...", ale coś mnie kusiło i znów pociągnąłem serwetę. Teraz już w to nie wierzę, ale wtedy diabeł się tam zjawił, diabeł wyciągnął moją rękę i szarpnął. Ja naprawdę nie chciałem. Jeszcze mogłem w ostatniej chwili chwycić wazon, bo obrócił się powoli, jakby dokoła siebie, i bardzo powoli spadał na podłogę. Naprawdę spadał powoli i mogłem go złapać w powietrzu... ale diabeł przytrzymał moje ręce. Ja teraz też się śmieję. Ale tylko ten jeden raz w życiu diabeł mnie skusił. Potem zawsze grzeszyłem na własne konto...

1963

"Do poprawki"

Pamiętam panią "od religii", była to wesoła, korpulentna pani z błyszczącymi czarnymi oczami, czarnymi włosami, śniadą cerą i niezwykle białymi zębami. Pamiętam jej nazwisko. Pani Kryszczyńska. Uczyła mnie religii, katechizmu i przygotowała do I komunii świętej. To był rok 1928. W kraju była bieda, przedsmak nadchodzącego milionowego bezrobocia. I cóż z tego, że miałem "piątkę" z religii. Na szycie nowego ubranka nie było pieniędzy. W ubranku szkolnym powszednim do komunii iść nie można. Mama zdecydowała, że pójdę za rok. Była to katastrofa. Płakałem strasznie. I wtedy Mama, jak zwykle, znalazła radę. Było w domu białe ubranko w którym przed trzema laty przystąpił do komunii Januszek; trzeba było ubranko odświeżyć i trochę przerobić. A więc tylko białe pończochy, buciki i świeca...

Pochlipywałem jeszcze, choć sprawa się wyjaśniła. Przede wszystkim jednak trzeba było iść do spowiedzi, sakramentu pokuty. Zrobić "rachunek sumienia" nie było trudno. Rejestr grzechów nie był zbyt wielki: Nieczystość. Obżarstwo. Łakomstwo. Lenistwo. Kłamstwo. Gniew. Pierwszym moim spowiednikiem był ksiądz "Kaszkietek". Rzeczywiście nazywał się ksiądz Bielawski, ale w naszym dzieciństwie wszystkie prawie osoby miały "zawołania", nie były to pseudonimy, ale nazwiska nadane przez nas, często też przez starszych. Ksiądz ten nosił granatowy "kaszkiet" i stąd pewnie "Kaszkietek". Robiłem więc rachunek sumienia. To była pierwsza spowiedź w życiu, więc jakby spowiedź z całego ośmioletniego życia. Najwięcej miejsca zajmowały takie grzechy jak kłamstwo lenistwo łakomstwo i nieczystość - w myśli mowie i uczynku. Były tam takie zwroty jak nieskromne spojrzenia i słowa i "brzydkie zabawy". Byłem bardzo pobożny. Najwięcej modliłem się do Pana Jezusa klęczącego w Ogrójcu. Nazywałem w myślach tego Pana Jezusa "Bozią z dużym brzuchem", aż kiedyś dokładniej się przyjrzałem obrazowi i zrozumiałem, że Bozia klęczy przy głazie, przez który przerzuconą ma szatę, a wyglądało to jak duży brzuch. W piątek pościłem, jadłem tylko suchy chleb i piłem wodę. Nasza starsza kuzynka Zosia Rajsówna zwana "Iglicą" mówiła o mnie "nasz mały święty". Oczywiście "mały święty" miał jak wszyscy święci swoje słabości i grzechy... czasem zjadł w piątek kawałek kiełbasy albo skwarka, czasem miał jakieś myśli niezbyt czyste kiedy na ulicy oglądał parzące się pieski albo na podwórzu koguta tarmoszącego kurę... łakomstwo... to rodzynki wydłubywane z ciasta, wyjadanie cukru z cukier nicz-ki, kostka chałwy za dziesięć groszy... Wyspowiadałem się, otrzymałem rozgrzeszenie i "pokutę"... pięć Ojcze Nasz i pięć Zdrowaś Mario... W nocy zachciało mi się pić i wypiłem dwa trzy łyki wody... potem nie mogłem spać, bo martwiłem się, czy nie zgrzeszyłem... rano ogarnęły mnie takie wątpliwości, że postanowiłem iść jeszcze do "poprawki" przed przyjęciem komunii. Z trwogą w sercu wyznałem moje wątpliwości... ale ksiądz "Kaszkietek" rozwiał je jakimś ruchem ręki i uśmiechem.

Z grzechami były kłopoty mniejsze i większe. Z latami grzechy się zmieniały, rosły, przybierały różne formy i barwy. Były jak "samogłoski" w wierszu Artura Rimbauda... A czarne E białe I czerwone... Dźwigając ósmy krzyżyk stary człowiek wraca znów do grzechów dzieciństwa... łakomstwo obżarstwo pijaństwo lenistwo i "nieczystość"... Zawiodłem kuzynkę "Iglicę" i nie zostałem "małym świętym"... I nie wiem czy pójdę do "poprawki".

Teraz kiedy piszę te słowa oczy Matki spoczywają na mnie. Jest w tych oczach pytanie, którego nigdy mi nie zadała.

Janusz Różewicz

"[Droga ze szkoły do domu. Fragment listu"]

Radomsko, 25 V 1940 r.

Dzień rozpoczęły białe konwalie... To znaczy, że dziś mam imieniny. Bo to już konwalie w ten dzień od lat rankiem znajduję na kołdrze. Czasem jaśmin. Ale w tym roku jaśmin jeszcze nie kwitnie... Siedzę teraz przy swoim stole i myślę o sobie. Raz do roku mam chyba prawo poświęcić godzinę rozmyślań tak ważnej osobie, jaką jest pan Janusz Różewicz.

zielona powierzchnia stołu za którym siedzę - jest jasna błyszcząca nasycona słońcem - takich stołów jest w klasie szesnaście stoły po kątach - ciemniejsze - bo w cieniu - wszystko jest strasznie

proste... za oknem też zieleń, ale inna - zieleń tego stołu i zieleń gałęzi to dwie zupełnie różne barwy choć o jednym imieniu – zieleń... ostatnia lekcja - szybko wyskakuje się z ciemnego korytarza - nawet teczka nie jest ciężka... buty stukają po szarych cementowych kwadratach trotuaru... rwący potok granatowych czapek i mundurków beretów i czarnych fartuszków przepłynął już teraz tylko pojedynczy spóźnieni, idą szybko i znikają za zakrętem a na tym zakręcie - przytwierdzona do płotu szafka pełna kinowych fotografii mówi że dziś o trzeciej "specjalnie dla młodzieży..." wszystko w tym tygodniu jest specjalnie dla młodzieży... pierwszy i najmilszy (a może ostatni?) tydzień nauki... wysoki, biały budynek kina, jak brzuch transatlantyckiego

okrętu zostaje za nami... na prawo w ulicy jeden z tych ładnych domków francuskiej kolonii - na balkonie pełno we skrzynkach petunii... wchodzę pod kasztany których cienie padają na klasztorny mur cienie ciężkich gałęzi na trotuarze porozgradzane złotymi pasmami słońca - z okien księgarni wybiega do oczu kolorowy tłum okładek "ostatnich nowości"... w małym trójkątnym ogrodzie przyległym do ulicy betonowym pusto - nadaremnie czarne litery tabliczek polecają "plantacje miejskie opiece szanownej publiczności" -szanowna publiczność jest teraz na obiedzie teraz mam przy sobie bramy remizy strażackiej jak zawsze kusi mnie maleńka szybka - którą można wybić na wypadek alarmu... na zegarze magistrackim jest godzina druga... granatowy policjant w białej czapce depcze po skrzyżowaniu ulic... jak się reguluje ruch który nie istnieje na kiosku gazetowym poprzypinane pluskiewkami gazety pachną drukarską farbą o wczorajszych zdarzeniach na kościelnych wieżach siedzą ciężkie wrony... w kurzu ulicy obradują wielce czymś zaaferowane wróble... wąskie alejki skweru zbiegają się pod kolczastą agawą, która jest punktem ciężkości całego rynku ulica zaczyna się czerwoną skrzynką na listy (może w domu zastanę jakiś list, no chociaż gazetę...) jest strasznie lekko i nie idę a idzie mi się... teraz mój cień skacze po płocie - takie sobie projekcje słoneczne - słupów, sztachet i kroków... otwarte okno ma szyby ze srebra, po to by oślepiać oczy przechodzę na drugą stronę - jeszcze dwa kroki i już brama mojego domu, w bramie ciemno ale na podwórku to samo słońce co i w ulicy po krętych schodach do drzwi...

Stanisław Różcwicz

"W kalejdoskopie..."

Od lat o szóstej rano syreny fabryki "Mazowia" i "Metalurgia", dzwony z kościoła... Mama wstaje pierwsza, rozpala ogień pod blachą, robi śniadanie przed wyjściem ojca na pociąg. Ojciec jeździ 20 lat do pracy w sądzie w Częstochowie. My wstajemy po wołaniu mamy: "Chłopcy, siódma...", czas zabierać się do szkoły.

Moje pierwsze spotkanie ze szkołą... Idziemy długim korytarzem, jestem w ciemnym aksamitnym ubranku, staję przed kierownikiem szkoły, panem Kupczyńskim. Mama mówi, że nauczyłem się sam czytać, tak było, więc może zostanę przyjęty do drugiej klasy, zaoszczędzę rok... Kierownik bierze gazetę z biurka, każe mi czytać artykuł na pierwszej stronie. Czytam dość płynnie, ale w pewnym miejscu zatrzymuję się na nieznanym mi słowie "kontrrewolucja". Milknę, szepczę mamie nędzne kłamstwo, że wstydzę się dalej czytać. Mama powtarza to panu kierownikowi, ten uśmiecha się wyrozumiale: "dobrze, będzie przyjęty"-.• Wracamy ucieszeni. Czy mama wiedziała, że to był mój nędzny wybieg, czy mi uwierzyła? Powtarza raz i drugi "kontr-rewolucja". Ja za nią cicho "kontr-rewolucja"... Próbuje wytłumaczyć mi znaczenie tego słowa.

Mama trzyma mnie za rękę. Idziemy. W grudniu, na spotkanie ze świętym Mikołajem. Sala magistratu pełna świateł i dzieci wydaje mi się ogromna, gwar cichnie, kiedy wchodzi święty Mikołaj. Dwa anioły niosą za nim kosz z prezentami. Anioły wywołują imiona i nazwiska dzieci, Mikołaj rozdaje prezenty. Dostaję torbę, w której są nowe rękawiczki, cukierki i kalejdoskop. Patrzę w lunetkę pod światło. W środku kolorowa rozeta, gwiazda, przy poruszeniu zmienia swój kształt, kolory przemieszczają się, tworzą nową gwiazdę, jest w tym coś magicznego. Któregoś dnia mój zaczarowany kalejdoskop rozpadł się, z środka wysypało się kilkanaście barwnych szkiełek i trzy lustereczka...

Pierwsze wyjście z mamą do "teatru". Sala Towarzystwa Dobroczynności, jesteśmy na przedstawieniu Jasełka. Oczarowany patrzę na wędrującą na niebie gwiazdę, na pasterzy i Trzech Króli. Wielkie wrażenie robi na mnie zły Herod i diabeł wykrzykujący: "Królu Herodzie, za twoje zbytki chodź do piekła, boś ty brzydki!". Zza tronu pojawia się nagle biała śmierć z kosą. Przestraszony, przejęty ściskam rękę mamy. Mama uśmiecha się do mnie uspakajająco. Ale ten obraz śmierci o białej twarzy pozostaje we mnie na długie lata.

Jestem starszy i mama zabiera mnie do "Kinemy", kina Ochotniczej Straży. W okienku za kolorowymi szybkami siedzi kasjerka. Mama kupuje zawsze miejsca na balkonie. Przed seansem krąży po sali chłopiec w kepi, rozpyla strzykawką "leśne powietrze". Pod sufitem gaśnie wielki żyrandol, oglądamy Huragan, Książę i Żebrak, Wyprawy krzyżowe z Lorettą Young. W domu mama powtarza, że bardziej podobały jej się aktorki dawnych, niemych filmów - Asta Nielsen, Lillian Gish i ta grająca w filmie Wladczyni świata... Z grających teraz lubi Gretę Garbo i Smosarską.

Nasze mieszkanie na Długiej na ma ani sieni, ani przedpokoju. Do kuchni wchodzi się prosto z dworu. Zimą przy otwieraniu drzwi do środka wpadają płatki śniegu. Pewnego wieczoru wbiega wystraszona sąsiadka: "Chodźcie!". Na niebie czerwone smugi, wysokie słupy światła falują, przemieszczają się, pomarańczowe, potem błękitne, trwa to jakiś czas. Mam siedem czy osiem lat, boję się, że to zbliża się koniec świata... Mama przygarnia mnie, zasłony na niebie powoli nikną, wyglądają gwiazdy... "To pewno odbicie zorzy polarnej", mówi mama. O niezwykłym zjawisku pisze następnego dnia "Express".

Otwarcie drzwi... Z deszczu wchodzi mama w chustce na ramionach, płacze. Radio podało, że w katastrofie lotniczej zginęli w czasie burzy Zwirko i Wigura, pilot i konstruktor, w tydzień po zwycięstwie w Ghallenge'u w Berlinie. Cały kraj cieszył się, a teraz...

Chińczyk w ciemnym płaszczu otwiera wielką walizkę, namawia mamę na kupno kadzidła, różnych wazoników, jedwabnej chustki, na której są smoki i egzotyczne ptaki. Nie pamiętam, czy mama coś kupiła, w domu chudo z pieniędzmi. Ten Chińczyk w ciemnym płaszczu przypomniał mi się, kiedy w pół wieku później zwiedzałem wnętrza cesarskiego pałacu w Pekinie. Mama nigdy w życiu nie była w górach ani nad morzem.

W mieszkaniu na ulicy POW mamy już dwa pokoje z kuchnią i przedpokojem. Ojciec w dalszym ciągu gra na loterii, powtarza "muszę wygrać milion", mama uśmiecha się wyrozumiale. Zima-lato po podwórku drepcze obłąkana. O... Powtarza w kółko "nimom diabła, nimom diabła..." Długi i bieda pomieszały jej w głowie. Mąż, murarz, bije ją regularnie co tydzień. Zimą murarze są bezrobotni. Choć w domu się "nie przelewa", mama pomaga sąsiadom, rodzinie M.; kiedyś mieli młyn, teraz są biedni, synowie często głodni. Najmłodszy uciekł kiedyś z domu, podobno widział na wsi cud... , Jabłka na drzewie zamieniły się w gołębie i odfrunęły w stronę lasu...".

W niedzielę idziemy do lasu na Suchą Wieś, czasem bliżej, "w akacyjki" - to miejsce za zabudowaniami, wśród pól, otacza nas tam zapach kwitnących akacji. Biegniemy do wiatraka, wolno obracają się jego skrzydła, zdają się unosić nas w niebo, słyszymy wołanie mamy, zabrała z domu jedzenie i picie. Niedziela jest też dniem, kiedy przychodzą goście, często zostają na kolacji, chwalą kuchnię mamy, jej ciasta, wspominają dawne czasy, ojciec służbę w rosyjskiej armii daleko w Azji, proces Macocha, mówią o majowym przewrocie i strajku w "Metalurgii". "Kuma" Lucia opowiada o leśniczówce, w której straszy kobieta o złotych włosach. Później grają w tysiąca lub preferansa. Przez dom przewija się wiele osób, zmieniają się ich twarze: sublokatorzy, sąsiedzi, stołownicy. Adaś R. ćwiczy na skrzypcach Śmierć Asy, sekretarka gimnazjum, pani Jadzia, śmieje się wysoko, ma zielone oczy. Kilka lat mieszka u nas sublokatorka, Zosia P, lubimy ją jak siostrę, do naszej mamy zwraca się "Mamo...". Coraz częściej przychodzą koledzy i koleżanki Janusza - na imieniny, na Andrzejki. W maju chodzimy na majowe do klasztoru Franciszkanów. Pierwsze kaczeńce przynosimy mamie z łąki za rzeczką Radomką. Mama bardzo lubi narcyzy i bez, wszystkie kwiaty. W dniu imienin Janusz od lat po przebudzeniu znajduje na kołdrze konwalie, a czasem jaśmin: to mama...

Mama jest stale zajęta. Gotuje, zmywa i sprząta, ceruje, kupuje buty, odnosi je do podzelowania, pali w piecach, przynosi z targu zakupy. Czasem posyła mnie do sklepiku po barszcz, pachnące żywicą szczypki na rozpałkę, kilka wiązek drewna, naftę do lampy. Przed świętami mama robi porządki, pastuje podłogi, wiesza wyprasowane firanki, odkurza sprzęty, orła z białego alabastru, rwącego kajdany... Choinkę kupuje tradycyjnie ojciec. Ojciec co jakiś czas przywozi dziwne rzeczy, rzeźby robione "na brąz", w domu pojawia się "Diana" i "Ve-nus", "tygrys" na etażerce. Zdejmujemy z szafy pudło z zabawkami, mama klei kolorowe łańcuchy, pomagamy... Mama lubi szyć i haftować, pojawiają się wtedy różnokolorowe kor-donki, nożyczki i igły. Na stole i na stolikach, na "kwietnikach" leżą laufry, serwety i serwetki, wszystko zrobione przez mamę. Haftu uczyła się we wczesnej młodości, kiedy była na kursach "gospodarstwa domowego dla dziewcząt" w majątku pana Kozarskiego w Konopnicy. Przyglądam się, jak powstaje najładniejsza w domu serweta: na białym płótnie wykwitają niebieskie, żółte, fioletowe bratki. Haftując mama czasem nuci piosenkę ‚Już miesiąc zeszedł, psy się uśpiły...". Mama dużo czyta, w młodości Kraszewskiego i Rodziewiczównę, później Prusa, Kadena, Tuwima i Makuszyńskiego, Boya, Miasto mojej matki i Księgg z San Michele. Książki, które znosi do domu Janusz. Kiedy mamę boli głowa, bierze proszek "z kogutkiem", robi na czoło okład z plasterków cytryny. Ma w taki dzień umęczone oczy, mówi cichym głosem. Z czasem pojawia się Waleriana, przychodzi lekarz, pan Postolko. Różowy, pachnący i tryskający zdrowiem.

Zachowaniem w szkole nie przysparzamy mamie specjalnych zmartwień, jesteśmy dobrymi "humanistami"; no, wszyscy trzej jesteśmy beznadziejni z "matmy"... Są kłopoty z płaceniem czesnego za naukę w prywatnym gimnazjum. Ale mama wraca z wywiadówek uśmiechnięta, polonista i wychowawca, profesor Przylubski, chwali zawsze Janusza za wypracowania i przemówienia na wszystkich szkolnych uroczystościach. Mama cieszy się z pierwszych rzeczy drukowanych przez Janusza w pismach: ‚Janusz urodził się w czepku"... Byliśmy bardzo zainteresowani, jak taki czepek wygląda.

Po roku szkolnym są wakacje, dwa miesiące w Gabrielowie, rodzinnej wsi ojca. Przed wyjazdem mama kupuje nam sandały, pakuje do kosza wszystko, co będzie potrzebne z bielizny i ubrania. Jazda autobusem do Pajęczna, tam czeka krewny, Piotr Janik, dalej wozem z nim. Piotr pogania siwego konia, wóz toczy się piaszczystą drogą wśród pól i

lasów. Piotr opowiada, co wydarzyło się w jego gospodarstwie i na wsi. I już pod lasem na końcu wsi bielona chata z czerwoną tabliczką "Sołtys". Wychodzi na przywitanie Jadzia, wybiegają Staś i Sabina. Znajomy chłód i zapach kuchni i drugiej izby, w której był zegar i lustro. Biegniemy przywitać się z rzeką. Warta jest czysta i pełna ryb, przewala się z hukiem przez tamę koło młyna. Próbujemy utopić Sabinę, aby za nami nie biegała...

W Gabrielowie jest też kuzynka "Iglica" i jej siostra, łagodna Antola, o ciemnych oczach, jest stale żartujący wąsaty stryj Anton... Ulubionym miejscem mamy nad rzeką jest "Dolina": łagodne wgłębienie terenu pełne pachnących ziół, kwiatów i kolorowych motyli. Mama odpoczywa trochę tylko w czasie wakacji.

Wychowała się wśród lasów. Pokazuje nam, które grzyby są dobre, które trujące, zna dobrze wszystkie kwiaty, rośliny, drzewa, zioła... Jadzia piecze chleb, dostajemy gorące podpłomyki posmarowane masłem. Dzień trwa na wsi dwa razy dłużej niż w mieście, wolno gaśnie, słychać skwir jaskółek wpadających do gniazd pod strzechą. Śpimy w stodole na sianie, rano słońce zagląda przez szpary w deskach, czasem szumi deszcz, po deszczu drzewa i krzaki są mokre, powietrze pachnie. Mama siedzi na brzegu lasu, czyta. Zjawiamy się z garnuszkami uzbieranych jeżyn i borówek, "sprzedajemy"... Ryby przynosi sąsiad Marczak. W pobliskim Osjakowie mama prowadzi nas do kościoła, w którym była ochrzczona, oglądamy drewniany budynek plebanii księdza Michnikowskiego, gdzie przebywała przez dłuższy czas. Tu jest pani Miłkowska, są koty, na podłodze rozłożony "Tygodnik Ilustrowany"... Oglądamy fotografie.

Kończy się sierpień, kwitną już wrzosy. Tadeusz wyjechał kilka dni wcześniej, jutro Piotr odwiezie mamę i mnie na autobus. Biegnę pożegnać się z rzeką, idę "Doliną". Na ziemi w cieniu leszczyn leżą żołnierze. Twarze czerwone, utrudzeni, z głowami na ziemi, niektórzy śpią. Świeżo wykopany okop zamaskowany jest gałęziami. Słychać, wysoko kołuje samolot. Za rzeką spokojny krajobraz po ciemne na horyzoncie pasmo lasu. Niedaleko granica niemiecka. Po powrocie do domu opowiadam mamie o żołnierzach i o tym okopie. Mama wzdycha: "Co tam teraz Janusz..." Janusz skończył podchorążówkę.

Kilka dni później wybuchła wojna. Drugi dzień wojny: rano składamy mamie życzenia imieninowe, słychać syrenę alarmową, mama pakuje rzeczy do kosza. Wczoraj spadły pierwsze bomby na Radomsko. Przyjechał znajomy gospodarz, zawiezie nas na wieś, miasto jest niebezpieczne. Jesteśmy już na wsi. Tadeusz i Zosia dojdą później. Stoimy z mamą przed domem, zza wzgórza ukazują się idące nisko ciemne heinkle, wydają się nadlatywać nienaturalnie wolno. Niespokojne oczy mamy, Tadeusz z Zosią są w mieście, nie możemy ich uprzedzić... Po minutach głośne wybuchy od strony Radomska, jakby kartofle przesypywał, na horyzoncie ciemne chmury dymów. Tadeusz z Zosią doszli pod wieczór, nalot zastał ich gdzieś w polu, za starym cmentarzem.

Nocą niebo w łunach, my w sznurze uciekinierów (dokąd?...): wozy, rowerzyści. Z szosy biegnie boczna droga w las, nad lasem białe i czerwone rakiety, jedziemy drabiniastym wozem, przysypiając. O świcie las otwiera się, jasne mgły stoją nad łąkami w wielkiej ciszy, fioletowe wrzosowiska. Wieś Swierczyna, zajmujemy kąt w izbie pełnej uciekinierów. Mama przy kuchni, gotuje mleko. Po dwóch tygodniach wracamy do miasta, jeszcze w powietrzu czuć zapach spalenizny, zrabowane sklepy, rozprute bombami domy w rynku i na przyległych ulicach. Nasze mieszkanie częściowo okradzione. Zniknęła pościel, stołowizna. Mamie najbardziej żal zielonego albumu z rodzinnymi zdjęciami.

Okupacja. Bieda, zły czas, okropny. Mama martwi się i niepokoi o nas wszystkich. Czasem

jedzie na wieś. Serwety, obraz, kilim wędrują za trochę żywności, mąki, kaszy. Widzę pierwsze siwe włosy u mamy, "wyrwę ci...", mama uśmiecha się, "och, dziecko...". Jesienią 1942 roku wyprowadzamy się do Częstochowy, zajmujemy domek na przedmieściu. W perspektywie szosy wieża klasztoru, w nocy na szczycie niebieskie światełko. W kilka dni po naszym wyjeździe z Radomska mamy wiadomość, że do mieszkania na POW przyszło gestapo. Tu, na "Parkitce", w małym ogródku mama posadziła trochę fasoli, jarzyn, wiosną kwitnie wiśnia i czereśnia. Pod oknami zasiała niezapominajki i nasturcje. Ten kawałek ogródka mamę bardzo cieszy, jakby osłaniał i oddzielał od rynku i ulic, na których Niemcy łapią i zabijają ludzi. Płacz mamy po śmierci generała Sikorskiego... Wieczór jak przeczucie zbliżającej się wolności: dalekie grzmoty, stoimy przed domem, niebo i ziemia rozjaśnione flarami, na niebie wiszą te "choinki", niski dźwięk samolotów. Amerykanie bombardowali cele na Śląsku, kilka samolotów zapuściło się w okolice Częstochowy. Widzę twarz mamy patrzącej w huczące rude niebo...

Ostatnie miesiące okupacji są bardzo ciężkie. Mama ma więcej siwych włosów na głowie, w czerwcu listy od Janusza przestały przychodzić, martwi się. Wiemy już z Tadeuszem, że była wsypa w Łodzi, że Janusz jest już badany przez gestapo, siedzi w więzieniu. Nie mówimy o tym mamie, opowiadamy o różnych sytuacjach w konspiracji, kiedy trzeba na długi czas zniknąć. Pracownica Janusza z konspiracji wspominała: Janusz na kilka dni przed aresztowaniem powiedział nagle ni stąd ni zowąd - jakby przeczuwając, co się stanie - «Najbar-dziej żal mi matki mojej...»".

Szary listopadowy dzień, nagle dom pełen jest żandarmów, nie wiadomo, kiedy weszli. Przewracają wszystko, zaglądają w każdy kąt, nawet pod portret Kościuszki. Pytają, gdzie byliśmy o którejś tam godzinie, kto u nas jeszcze mieszka. Tadeusz przyszedł niedawno z oddziału w lesie, jest też Wiesława, musiała uciekać z Radomska: wyszli przed dwoma godzinami do miasta. Żandarmi przeglądają książki, wybebeszają szafę. Mama jest spokojna, trochę bledsza. Łączy nas wspólna myśl, że Tadeusz z Wiesławą mogą teraz wracać, te ich "dokumenty", będzie niedobrze... Zanim zamieniliśmy kilka słów, mama wychodzi przed dom, za furtkę, aby ich zawrócić. Przypadek jest łaskawy, żandarmi zwinęli się, odjechali. Tadeusz z Wiesławą wrócili godzinę później.

Mroźny styczeń, śnieg. Na szosie rwący potok uciekającego Wehrmachtu. W kierunku miasta widać pikujące stukasy, słychać detonacje. Rosną słupy dymów, to palą się trafione przez stukasy czołgi. Rosjanie włamują się już do miasta. O szarówce na szosie za oknem widać tylko pojedyncze grupy uciekających Niemców. Przed domem kilku żandarmów z pancerfaustami, po paru minutach oni też odchodzą. Jest już wieczór, kiedy do mieszkania wchodzi trzech młodych w mundurach Luftwaffe, zmordowani, zarośnięci. Pytam, jak daleko są Rosjanie. Niemiec macha ręką: "Noch weit..." i do mamy "trin-ken...", powtarza "trinken"... W oczach mamy nie ma ani strachu, ani nienawiści. Robi im zbożową kawę, podaje. Piją, Iiiwalą się na podłogę pod oknem, zasypiają. Noc jak w malignie, nie śpimy. O świcie nagła strzelanina, blisko, wybuchy, ci trzej zrywają się, wybiegają, rozpływają się w szarym śniegu i mgle. Mama odeszła od nas w mieście, które nazywało się kiedyś Gleiwitz, a teraz Gliwice. Czasem myślę, aby pojechać i zobaczyć Lututów, niewielką miejscowość, gdzie mama przyszła na świat w roku 1896, sto lat temu. To, co w naszym domu było najdroższe i najpiękniejsze, to Mama.